№ 20. Warszawa, dnia 7 (19) Maja 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować możn w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru: Pawełek (wiersz). — Szczęśliwa wyspa przez S. Wiśniowskiego. — Korespondencya ze Lwowa. — Pogadanka.— Korespondencya z Berlina (dok.) —Przegląd literacki. — Obrazy na Wystawie T. Z. Szt. P. w Warszawie **W dodatku:** Zbrodnia w Green-Lodge naśladowanie z powieści Miss H. Wood przekład z angielskiego (dal. ciąg).

PAWEŁEK

(z Legendy wieków Wiktora Hugo)

przekład S. z Ż. D.

(Dokończenie).

Przy wsi, na uboczu
Stoi mały kościołek: uderzyły dzwony,
Pomnę, lud w koło trumny licznie zgromadzony,
Ksiądz odmówił modlitwy i pokropił ciało;
Widzę słodkiego starca głowę posiwiałą,
Wyżółkłe jak wosk lica, i spokój na czole.
Wzięto trumnę i orszak pociągnął przez pole.
W koło buchają wonią macierzanki świeże,
Lud idzie za umarłym, w głos mówi pacierze.
Przy drodze leży krówka i żałośnie ryczy
I zwraca na przechodni wzrok pełen słodyczy,
A za trumną podąża Pawełek sierota.
Ot, kościołek i cmentarz, rozwarte już wrota,
Nie rosną tu wawrzyny ni smukłe cyprysy,
Nie dopatrzeć marmurów z szumnemi napisy,
Wśród krzyżów i mogiłek wiedzie wązka droga,
Jak tu cicho, poważnie! Tu pod okiem Boga
Śpi lud, skwarnym żywota utrudzony znojem,
W koło parkan oplecion bluszczem i powojem.
Pawełek idzie zwolna i milczy głęboko,
I we wrota cmentarne pilne wlepił oko.

Życie snem dla dzieciny! czasem promyk słońca
Zgaśnie wprzód zaczem dzionek dobieży do końca,
Pawełek miał trzy lata.

— Ha! psotniku brzydki!
Precz ztąd, bo cię wytłukę, popamiętasz zbytki!
Gdy patrzę na dzieciaka żółć się we mnie burzy,
Precz ztąd! — ja przy mym stole nie ścierpię go dłużej,
Zjadł z garnka wszystko mleko, posadzęż ja ciebie,
Za pokutę w piwnicy o wodzie i chlebie!

Do biednegoż Pawełka te okrutne słowa?
Ledwie nad starcem ziemia zapadła grobowa,
Gwar jakiś o domowe rozległ się wnet ściany,
Dom zajął obcy człowiek chłopięciu nieznany.
To był ojciec Pawełka, z nim przybyła żona,
Maleńkie niemowlątko przytula do łona.

Serce młodej niewiasty twarde dla sierotki,
Gdy pieści własne dziecię, uśmiech jej tak słodki.
Oko płonie miłością, pieśń jej cudnie dzwoni,
Lecz wara Pawełkowi przybliżyć się do niej!
Ze wstrętem, z nienawiścią patrzy w cudze dziecię.

Cierpieć nawet bez winy, rzecz zwykła na świecie,
Człowiek brzemię ofiary dźwiga z własnej chęci,
Tak cierpią męczennicy, prorocy i święci.
Ale straszniej gdy dziecięciu żywot już dopieka,
Choć nie ma jeszcze woli, ani bark człowieka!

Dąb ocieniał mu głowę, jakaż dziś odmiana,
Sam w śród ostów i pokrzyw ugrzązł po kolana.

Co się stało? Pawełek zrozumieć nie może.
W izdebce jego czarno i pusto jak w norze.
Idzie spać, płacze biedny, i nikt o tem nie wie,
Chwieje się niby trzcinka, drży jak liść na drzewie,
Otworzy rankiem oczy.. spojrzy.. i znów płacze,
On sam, ręka życzliwa w drzwi nie zakołacze,
Blask nie wniknie przez szybę, w koło pomrok siny,
Dziwny żal ściska biedne serduszko chłopczyny.
Czyż go jasne słoneczko jak dawniej nie kocha?
Wszedł w progi: — „precz ztąd!“ gniewnie zakrzyczy macocha.

Biedaczek do ogrodu, pod cień drzew ucieka,
A gdy kwiatki sierotę ujrzały zdaleka
Ze smutkiem jasne główki ku ziemi pochylą,
I ptaszęta na gniazdkach żałośnie mu kwilą.

— Gdzieżeś był? Jaki brudny! cały starzan w błocie.
Macocha wszystkie cacka zabrała sierocie,
Oddała niemowlęciu: ojciec nie przeszkadza,
Nad kochającym mężem, wielka żony władza.
Pawełek na zabawki, pogląda ze smutkiem,
Aniołkiem był w tym domu... a teraz... odrzutkiem.

— „Uciekaj! precz mi z oczu!“ krzyknie głos niewieści.

Inaczej brzmią jej słowa gdy niemowlę pieści,
— Chodź do mnie moje złotko, moje ty kochanie,
Cherubinka z niebiosów zesłałeś mi Panie!
Liczko twoje różowe, istny promyk zorzy,
Oczęta jak gwiazdeczki — to aniołek Boży!
Cudownież mi z tych oczęt światełko połyska,
Jedynym światem dla mnie ta mała kołyska;
Daj nóżkę ucałować i jedną i drugą.
Długo matka niemowlę pieści — bardzo długo.
Pawełek stoi z boku. Wątła pamięć dziatek,
Tyleż on zapamięta jak jagnię lub kwiatek,
Przecież słabiuchne rysy na dnie serca chowa,
On wie że słyszał niegdyś te rozkoszne słowa.

Jadał w kącie na ziemi obiad i wieczerzę,
Zrazu płakał lecz w końcu i łez się przebierze,
Obeschła mu powieka, usta zaniemiały.

Pilnie oczyma ściga drzwi Pawełek mały.
Raz wieczorem po całym szukano go domu,
Ale nigdzie go nie ma; — uciekł pokryjomu.
Było to w twardą zimę; śnieżna dmie szaruga,
Ni gwiazdeczki na niebie; noc czarna i długa.
Dziecię zniknęło bez wieści. Daremne zabiegi,
Ślady maleńkich stopek zasypały śniegi.

W blizkiej wsi znaleziono sierotkę o świcie.
Wieczorem jedni drugim rzekli: — czy słyszycie?

Jakiś głos tam żałośny w ciemności pobrzmiewa!
— To wicher, mówią drudzy. To szeleszczą drzewa,
— Może wilcy gdzieś wyją lub harcują duchy,
„Dziaduniu!" słaby głosik brzmi wśród zawieruchy.
Strach wielki padł na serca, każdy drży jak listek.
Rankiem w stronę kościołka wybieży lud wszystek,
Pod wroty cmentarnemi, odkryto dziecinę,
Zimny, sztywny jak kamień, rączęta ma sine,
Oczy wpół przymrużone, lica śnieżnej bieli,
Śpi, takim snem spokojnym śpią Boży Anieli!
Jak trafił tu maleńki, sam jeden w noc czarną?
Opiera prawą rączką o bramę cmentarną,
Jakby ją chciał otworzyć — lecz nie pękły wrota,
Dziadunia umarłego przyzywał sierota,
Snać w głąb zimnej mogiły jęki się nie wdarły,
Wołał długo, aż upadł na ziemię umarły,
Biednemu Pawełkowi sen zawarł powieki;
Nie rozbudził dziadunia, śpi przy nim na wieki!

SZCZĘŚLIWA WYSPA

(wspomnienie z nad wybrzeża Atlantyku)

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

— Powiedz mi kochany panie — pytałem sędziwego rodaka mieszkającego w Waszyngtonie, znanego w kraju i w Ameryce, czy i gdzie mógłbym znaleźć w Stanach Zjednoczonych zakątek, wolny od gwaru i gorączkowej konkurencyi, słowem ustronie idylliczne, stosowne dla mizantropa ze szczupłemi środkami, pragnącego ukryć się w samotności nakształt ślimaka w skorupie i żyć bardzo tanio?

— Niełatwo znaleźć w Nowym świecie takie schronienie, odrzekł zapytany.

— Wiem, że niełatwo, gdyż nawet w dzikich ostępach gór Zachodnich, lub w pozornie głuchych pustowiskach Południa nie widziałem nic podobnego. Tam nawet *auri sacra fames* napełnia pustelników gorączkowością giełdziarzy. Złoto grzebią, o złocie wciąż rozprawiają, dla złota mordują się. Na Południu polityka cięży im bezustannie na mózgu, a raczej kwestya socyalna... murzyńska. Ona jest tematem gawęd wieczornych w samotnej plantacyi, w chatce rolnika — mulaty, w szałasie drwala kryjącego się w jodłowej gęstwinie. Nędzny rybak Florydy nudził mnie rozprawą o stosunkach rasy białej i czarnej. Ty, znający Nowy Świat gruntownie, powinienbyś wymienić miejsce, w którem złoto *greenback'i* (banknoty), *busniess* (interes), *trade* (handel) a co najbardziej polityka, nie obijały się wciąż o uszy. Chciałbym tam spocząć, chociażby przez tydzień.

Staruszek wątpił, czy istnieje taki kątek pożądany. Nawet w miłej mu, podobnej do Arkadyi klimatem i malowniczością i niepostępowej Wirginii, nie znał on punktu, któryby odpowiadał wszystkim mojem wymaganiom. „Chyba, chyba — dodał — na wyspach przybrzeżnych. Poznałem je skutkiem odwiedzin do latarń morskich... a wiesz że służę w wydziale farów i oświetlania wybrzeży.

— Któż mieszka na tych wyspach?

— Dziwny ludek, którego nic nie obchodzi, oprócz ryb, ostryg, koni, ceny *whisky* (wódki) i pogody. Tworzy on rodzaj odrębnego narodu i nie ma pojęcia o niczem po za obrębem swoich wysepek.

— Eureka! zawołałem, notując w książeczce fakt, że wyspy takie istnieją. Gdzie leżą, kędy najkrótsza droga do nich, ile prawdopodobnie kosztowałaby podróż.

Niedługo po tej rozmowie zdarzyła mi się sposobność poznać jeden z tego rodzaju rajów dla mizantropa.

Raj ten nazywają *Chincoteague* (wymawiaj Czinkotig). Jest wyspą położoną o pięć mil morskich ($1^1/_4$ geog.) od stałego lądu Wirginii, o dzień żeglugi od milionowej Filadelfii. Posiada ciekawość w swoim rodzaju, albowiem słynie z tabunów dzikich koni, nader trudnych do ugłaskania, bardzo wytrwałych po ujeżdżeniu i niewiększych nad nasze huculki. Są to ulubione konie paniczów amerykańskich. Sprzedają je bardzo drogo. Zkąd one wzięły się na wyspie nie powiada jej historya. Pierwszy znany w dziejach biały pionier na piaskach Chincoteague'i zastał na nich niezliczony tabun tego rodzaju koników. Zapewne pochodziły one z kilku zwierząt, wyrzuconych na wyspę, niebawem po odkryciu Ameryki z jakiegoś statku hiszpańskiego, który płynął do Indyi Zachodnich albo Meksyku, lecz zabłądził, wpadł pomiędzy niegościnne rafy i odsepy północne i rozbił się. Zwierzęta wypłynęły i założyły na wyspie końską kolonię. Ludzie łakomi koni długo nie wiedzieli o istnieniu tej stadniny, pomimo że wyspa należała nominalnie do plantatorów wirgińskich. Murzyni zbiegli z niewoli, jeżeli udało im się przebyć cieśninę oddzielającą ją od lądu, ukrywali się bezpiecznie w jej borach i słonych moczarach. Dopiero w początku bieżącego stulecia zbadano ją. Badacze ucieszeni mnogością koni nie mających właścicieli, podzielili się wyspeką, otrzymali tytuł własności od stryja Sama. Z nich rozrodziło się kilkadziesiąt białych rodzin, mieszkających obecnie na wyspie, wespół z kilkuset rodzinami służby murzyńskiej. Koloniści posiadają maleńki, zasapany i kaszlący parowiec, nazwany *Alice*, który raz na dobę przebywa cieśninę żółwim krokiem, łącząc mieszkańców wyspy ze światem lądowym.

Godzinę przewoził mnie ten statek przez mętną cieśninę, koloru kawy z mlekiem dostarczanej w cukierniach i zamąconej do gęstości fusów mułem i piaskiem z dna płytkiego. Uważałem, że woda na zachodniem wybrzeżu Atlantyku, od zatoki Ś-go Wawrzyńca do Meksykańskiej, celuje także barwą i gęstością, skutkiem rozległych raf błotnych, garnirujących brzegi, tudzież ciągłych burz mącących rafy. Trudna też i niebezpieczna bywa żegluga po nich; klęski morskie wydarzające się w tych stronach zbyt często zapełniają ramy gazet zachodnich.

Wyskoczyłem wreszcie z *Alice* na rąbek nadbrzeżny szukanego raju. „Kraju tego nie dosięgła nowoczesna cywilizacya — winszowałem sobie w duchu — nie znają tutaj turkoczących i opylonych tramwayów, gderających młynów i przędzalni, huczących hamarni, klekoczących warsztatów morskich. Jestem odcięty od postępu naszej epoki przestrzenią wieku, jak gdybym pozostał po za prądem czasu. Dym węglany nie zatruwa tutejszej atmosfery; oprócz piszczałki Alice'y, słyszanej dwa razy na dobę, szczekania psów i piania kogutów, nic mi nie będzie snu psuło. Nie potrzebuję myśleć i słuchać o politycznych i religijnych niesnaskach, zazdrościach o władzę lub gonitwach za majątkiem. Wszystkie te rzeczy nie kłopoczą zacnych mieszkańców Chincoteague'i, gdyż umysły ich poświęciły się ostrygom, wódce i koniom. Wolno mi tu będzie ubierać się, jeść i żyć wedle własnego widzimisię, jak na puszczy, chociaż żyć będę między ludźmi mojej cery i o zrozumiałej mowie."

Wyspa ta zarzuciła kotwicę w wielkiej, zupełnie prawie od morza oddzielonej zatoce. Długi, wązki język lądu, zwany *Assateague*, okryty jodłami, gdzie się nie zniża w bagniska, sięga daleko w morze, rozgraniczając odnogę od oceanu. Cieśnina na milę morską szeroka, oddzielała ten półwysep od naszej wyspy. Na nim wyrosła śmigła, biała latarnia morska, jeden z najwyższych i najpiękniejszych farów na wschodnich wybrzeżach Ameryki. Oszklona jego lampa rysuje się za dnia wysoko na błękicie, w nocy pała nakształt zamdlonego purpurowego słońca jesiennego, ciskając na obręb mil kilkunastu długie, ukośne promienie.

Pomiędzy stałym lądem i owym półwyspem śpi leniwa Chincoteague. Nie orzą na niej, ani sieją: konie spasłyby plony. Mieszkańcy żyją z koni, a raczej z wędzonki, mąki, wódki, tytuniu, jakowe dostają w zamian za konie. Statystyczne obliczenia dowiodły, że trzymają się zasady, wedle której wielki Falstaff zbierał prowiant dla swojej armii. Mięsa i chleba nie kładł on wiele do worów, ale napitku jak najwięcej.

Gęste i dziewicze lasy pokrywają większą część wyspy. Odwieczne jodły i świerki stały w szpalerach po obu stronach błotnistej ścieżki, wiodącej do jej wnętrza, otwierając się niekiedy w polanki, zwane tu łąkami. Na nich spotykałem stadka owych koników zachwalonych. Szmer najlżejszy, szept, pęknięcie gałązki pod obcasem, ostrzegały takowe o naszem, (było nas kilku, gdyż podróżowałem z turystami z Filadelfii) zbliżeniu. Jakże też zadzierały ogony, kładły uszy po sobie, rżały, wierzgały i wciskały się pomiędzy drzewa, skoro nas zwietrzyły!

Wyspa nie ma nad ang. milę szerokości, ale jest bardzo długą. Można ją nazwać pasmem borów i słonych moczarów. Na ostatnich rośnie nieprzeniknione sitowie, i ono właśnie tworzy najlepszą paszę dla kuców, mianowicie w zimie. Jemu przypisują wytrwałość i zdrowie tych dziwacznych tabunów.

Błądziliśmy kilka godzin po wyspie szukając gospody i nie mogliśmy nigdzie znaleźć domu, w którymby można było złożyć mantelzak i ciało znużone. Tubylce dzielili się widocznie na dwie klasy, właścicieli koni i rybaków. Średnio handlujący, mieszczański stan nie istniał; nie było tam miasteczka ani wioski. Skutkiem tak idylicznego składu społeczeństwa, nie posiadała wyspa hotelu, karczmy, ani karawanseraju, w którymby można spocząć za pieniądze, bez obawy natarczywych i dolegliwych owadów i nieznośnego brudu. W pochodzie spotkaliśmy, co wyspiarze nazywali sklepem rzeźnika i piekarza, ale nie był to sklep zgoła, lecz tylko wielkie prześcieradło, rozpięte pomiędzy czterema drzewami. Pod niem siedział murzyn, którego twarz i ręce niedotknęły wody dawniej niż nawet bielizna połatana i niewyprana od dnia uszycia. Zacny ten praprawnuk Chama, posiadał suchary morskie i ostrygi gotowane w mleku, ale nie miał mięsa. Pocieszył nas, iż takowe otrzyma za parę godzin „z jatek" pokazał nam nawet jatki. Był to potężny konar, wyskakujący pod prostym kątem z olbrzymiej jodły. Do niego przypięto rubaszną windę; na windzie wisiał wół wychudły i krwią kapiący. Gromadka murzynów brudniejszych od zacnego piekarza zdzierała zeń skórę, przy pomocy zgrai psów, które podskakiwały do wołu. Igły jodłowe świegotały od wiatru, jakby przygwizdując złośliwie tym dziwacznym rzeźnikom.

Nie mogąc otrzymać nic za pieniądze, zdaliśmy się na gościnną łaskę właścicieli najbliższej chaty. Ci rubaszni ludzie posiadali wschodnie pojęcia o gościnności. Siedzieli właśnie przy obiedzie, do którego zaprosili nas natychmiast. Cała trudność w przystąpieniu do strawy polegała na przestąpie-

niu kordonu, złożonego z kilku nierogatych, które nieufnie oglądały nas i chrząkały pomiędzy sobą jak gdyby knuły przeciw nam zamiary wojenne, psów równie nieufnych i nagiej dziatwy, pełzającej i koziołkującej na ziemi, pośród czworonożnego towarzystwa. Wreszcie ugłaskaliśmy zwierzęta, przeskoczyli dzieci, usiedli na klockach służących tu zamiast krzeseł i zajrzeli do misy.

Podobnego rodzaju strawy nie oglądałem nawet pomiędzy Kanakami Oceanii i Kanibalami na Fidżi. Ciecz gęsta, lepka, widocznie czarny syrop z trzciny cukrowej, przelewała się z miski. W niej pływały płaty słoniny, niby łodzie szybujące po morzu. Obok niej leżały placki z kukurydzy, które autochtoni łamali w półfuntowe grudy, ciskając takowe do misy, i obracając palcami w syropie. Po tej kąpieli przenosili je rękoma z naczynia do ust. Słoninę spożywali w podobny sposób. Przyznam, że pomimo niewybrednego gustu, pościłem dnia owego. Że koledzy turyści długo nie mogli połknąć tej strawy, nie potrzebuję dodawać. Lecz już nazajutrz rano polowałem w owej misie z wprawą wyspiarza. Turyści dłużej wytrzymali, lecz i oni skapitulowali przed wieczorem... głód urąga się z wszelkich wstrętów i pokona przesądy i gusta nawet paniczów wielkomiejskich.

Prawda, że przed każdą biesiadą zachęcała do niej gosposia. Wyjmując z ust jedną ręką króciutką zakopconą fajeczkę, drugą karcąc w tejże chwili pacholę piskliwe, leżące płazem na ziemi, zapewniała nas, że nad słoninę z molasami (syropem) nie ma przysmaku na kuli ziemskiej. Ludność wysp owych żyje wyłącznie strawą tego rodzaju, która musi być zdrową i pożywną, sądząc z obfitości ich potomstwa. Potem podsunęła nam miskę. Niestety, zanim głód nasz był zupełnie zaspokojony, zaczynała zwykle opowiadać z drobiazgowemi szczegółami o utrapieniach febry, która ją opuściła dopiero przed tygodniem. Lękała się recydywy — mówiła. Febra często nawiedza tubylców. Nie przypisywała tych nawiedzań recedyw obrzydliwej i oryginalnej strawie, spożywanej w klimacie gorącym, w otoczeniu bagnistem, w okolicy leśnej i pełnej malaryi zawiewanej z moczarów. Temat ten nie zajmował ją jednak długo, albowiem słówko wyrzeczone w rozmowie zwróciło takową na Maryę, córkę swoją. Zwierzyła się nam natychmiast, że wydała Maryę za Dżima (Jakóbka), który miał nie pomnę już ile kuców. Majątek tej młodej pary musiał być w istocie znakomity, sądząc z wyprawy Maryi, wyliczonej co do śpilki przez jej matkę. Piecyk żelazny (z rodzaju służącego zarazem za kuchenkę), dzban, wiadro, balia do prania i pierzyna, składały wyprawę dziewicy wyspiarskiej, oprócz krowy. Oprócz tej informacyi dowiedzieliśmy się też od gospodyni, iż dzieci chowają się doskonale na wyspie; o tem przekonaliśmy się naocznie, sądząc z ilości bębnów w każdej chacie. Febra trapi ich ale nie zabija. Szczęśliwe przebywanie febry przypisywali swoim pierzynom.

Już to co do pierzyn, nawet sybaryci niemieccy mogliby zazdrościć takowych mieszkańcom tej wyspy godnej imienia kraju leniuchów. Nieraz weszliśmy do chaty w południe, podczas skwaru sięgającego do 30 stopni Reaumura. Oprócz załogi czworonożnej nie widzieliśmy żywej duszy, W końcu rzucam okiem na łoże... wydętą górę z piór i poduszek okrytych kapą z jaskrawych, kwadratowych gałganków, zeszytych misternie w całość, z której wszystkie barwy tęczy wypływały. Góra przypominała wulkan tym razem, gdyż po nad łożkiem złożonem z napiętrzonych poduszek, unosił się cienki wąż przejrzystego dymu. Był to dym z fajek gospodarstwa, odbywających wraz z dziatwą południową siestę, pod okryciem któreby uchroniło Lapończyka od mrozu. Poczciwi wyspiarze twierdzili, że co nie przepuszcza zimna nie przepuści też i ciepła, zkąd wypływało, że otchłań pomiędzy pierzynami jest niezawodnie najchłodniejszem schronieniem na całej wyspie.

Gospodarz nasz, typ „porządnego“ mieszkańca kraju leniuchów, jeden z właścicieli dzikiego tabunu i że tak powiem jeden z dyrektorów kompanii do której te konie należą (gdyż wyspiarze wspólnie czuwają nad kucami, chociaż nie każdy z nich ma prawo do równego działu w przychowku), tworzył dla mnie ciekawe studyum. Przez 51 tygodni do roku wiódł on żywot monotonny, a każdy dzień miał dla niego trzy fazy. Rano przebywał fazę nieszczęśliwą — czekając aż Alice przybędzie z lądu z ładugą whisky. W południe mniej narzekał, gdy wrócił z wizyty na pokład parowca, a język jego już się plątał w opowiadaniu o nowinach i zapasach przywiezionych. Wieczorem, wedle własnego zapewnienia, czuł się szczęśliwym jak sędzia. Ów sędzia, nieznany nam dotąd, cieszył się wyjątkową ilością kuców i mógł upajać się najlepszą starką, więc gospodarz nasz musi być rzeczywiście szczęśliwy, jeżeli porównywał się z takim magnatem.

Po tem zwierzeniu zapewniał nas zwykle o swojej przyjaźni.

— Kocham was — mówił — chociaż pochodzicie ze stałego lądu. Kocham was, *goddam you* (weź was licho — życzenie które co pół minuty powtarzał) pomimo waszych pięknych lądowych sukni, pomimo, że żaden z was niegodzien butów czyścić najpokorniejszemu mieszkańcowi Chincoteague.

Tu czkawka przerwała dalsze zapewnienia przyjaźni. Korzystając z tej przerwy zapytałem:

— Stryjaszku Kenie (tytułowano go w okolicy *Uncle Ken*, dla czego niegodniśmy czyścić wam butów?

— Gdyż my tworzymy wyjątkowy, wybrany naród. Gdzież istnieje drugi lud, któryby mógł cały rok nic nie robić? Morze pilnuje naszych koni, Alice przybija raz na rok z tłumem pasażerów, którzy płacą nam za kuce ile zażądamy, gdyż każda piędź wyspy do nas należy i nie myślemy wpuścić na nią żadnego Yankesa albo Niemca aby nas zwolna pozbawił własności. Nawet nie potrzebujemy łapać własnoręcznie kuców, albowiem negry (murzyni) czynią to za nas. To wyjątkowe położenie czyni nas też wyjątkowym ludem, któremu żaden i wy nie wart butów czyścić.

— Zresztą nie nosicie butów... chodzicie w łapciach albo boso.

— Skutkiem szczęśliwej powierzchni wyspy... nie mamy kamieni, jak u was na lądzie... same błoto i piasek. I w tem wyżej od was stoimy.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Straciliśmy jedno z codziennych pism politycznych. *Kronika codzienna* założona w lipcu ubiegłego roku, przestała wychodzić w pierwszych dniach kwietnia, chociaż zdawałoby się, że przebyła już najkrytyczniejszą dla nowego wydawnictwa porę, chociaż dalej ważne wypadki na Wschodzie zdawały się wróżyć wszystkim dziennikom znaczny wzrost liczby prenumeratorów. *Kronika* zostawiła po sobie dobrą pamięć, bo wystrzegała się skandalów dziennikarskich, o które u nas tak łatwo, broniła swoich zasad z powagą i godnością nawet w polemice z organami zupełnie z nią niezgodnemi. Ale wszystko to nie wystarcza, aby wydawnictwo mogło zakwitnąć. Nie można bowiem wymagać u czytającej publiczności, ażeby prenumeratę uważała niejako za premię, za dobre chęci, i aby mając przed sobą dwa lub kilka dzienników nie wybierała tego, który najstaranniej jest redagowany i najświeższe posiada wiadomości jedynie z tego powodu, że np. nie jest zupełnie niezawisłym. *Kronika* była zawsze ubogą we własne wiadomości, nie posiadała nawet oryginalnych telegramów, bez których dziś obejść się niepodobna, żyła często wyłącznie przedrukami, a fejleton tylko kilka miesięcy mógł się wykazać pewną rozmaitością i nowością literacką. Jakżeż więc wymagać można od publiczności, aby mimo to wszystko tłumnie garnęła się do *Kroniki* dla tego tylko, że jej wydawca miał najlepsze chęci i walczył z trudnościami w zadziwiający sposób, czego najlepszym dowodem jest 9 miesięczna egzystencya. A przecież po upadku *Kroniki* publiczność galicyjska spotkała się z zarzutem tego rodzaju. Podniósł go wyraźnie jeden z przyjaciół *Kroniki* w sympatycznym dla niej nekrologu, jak się zdaje tylko dla tego, ażeby przypiąć łatkę jednemu z dzienników lwowskich, który staranną redakcyą i obfitością materyału zdobywa sobie coraz szersze koło czytelników mimo półurzędowej barwy swojej. Taka walka nie doprowadzi nigdy do celu, bo na całej kuli ziemskiej tak się dzieje i dziać musi, że prenumerata nie jest wsparciem lecz ceną za dostarczony produkt dziennikarski. Jeżeliby nawet nasza publiczność naprawdę zechciała pojmować prenumeratę jako wsparcie, to i w takim razie jeszcze nie wyszłoby to na korzyść niedołężnie kierowanych lub niepotrzebnie założonych dzienników politycznych. Pierwszeństwo w takim razie miałyby pisma niepolityczne.

Wyrastają już po nad poziom wielkiego ogrodu Jabłonowskich kształtne budynki i pawilony drewniane, w których odbędzie się tegoroczna wystawa rolniczo-przemysłowa. Komitet wystawowy wcześnie przystąpił do budowy, która jeżeli poprowadzoną zostanie z takim pospiechem z jakim podjętą została, skończy się za dwa miesiące. Zgłoszenia na wystawę nadchodzą w coraz większej liczbie i obejmują wszystkie działy krajowej produkcyi. Nie braknie nawet osobnych pawilonów dla niektórych gospodarstw. Wzorowe gospodarstwo arcyksięcia Albrechta w Żywcu posiadać będzie taki pawilon i niezawodnie zabłyśnie na wystawie. Także i składki na koszta wystawy wpływają obficie, daleko obficiej aniżeli się spodziewano. Zjazd wystawców i zwiedzających wystawę będzie liczny, bo jest to w każdym razie nowość niepospolita i godna zwiedzenia a podróż do Lwowa nawet z najodleglejszego zakątka kraju, nie jest już dzięki kolejom żelaznym tak długą i trudną wyprawą, jaką była przed laty kilkunastu, a dla niektórych części kraju nawet przed kilku laty. Dotąd idzie wszystko dobrze, ale... otóż jest i „ale“, tym razem bardzo wiele do myślenia dające. Kto wie co się stanie do września, powtarzają wszyscy, jak gdyby burza wojenna zrywająca się nad niespokojnym Wschodem miała koniecznie ogarnąć całą Europę. Ta niepewność sytuacyi cięży okropnie na wszystkich interesach i przedsiębierstwach, bo Galicya jest zupełnie zależną od obcych kapitałów i źródeł produkcyjnych, więc zawsze żywo odczuć musi wszystko, co sprawia popłoch w Wiedniu lub w innym sąsiednim kraju.

Na nieszczęście tym razem panika wojenna znalazła przygotowane już pole do wywierania zgubnych wpływów. Przesilenie ekonomiczne od trzech lat dokuczające niezmiernie całej Austryi daje się i nam

uczuć, chociaż nigdy u nas produkcya nie przekraczała granic tak jak w Wiedniu a niezdrowe, na okpiwanie obliczone spekulacye bankowe i akcyjne nie miały nawet gruntu stosownego. W skutek tego przesilenia kapitał stał się bardzo trudnym do uzyskania a gdy do tego przyłączyła się obawa wojny, pieniądz zaczyna się kryć nawet przed bardzo roztropnym i wyrachowanym przedsiębiercą. Najwięcej w tej chwili daje się uczuć brak łatwego i taniego kredytu w budownictwie, które tej wiosny popadło w zastój zupełny. W ostatnich latach Lwów zabudował się znacznie, corocznie wyrastały nowe kamienice, stare ulice wypełniały się a nowe zaczęły powstawać. Ponieważ jest jeszcze wiele luk do zapełnienia nawet w samym środku miasta a przedmieścia posiadają całe obszary niezabudowanych a bardzo ponętnych dla przedsiębierstwa budowlanego placów, przeto powszechnie przypuszczano, że budownictwo w tym roku jeżeli się nie rozwinie jeszcze więcej to przynajmniej wytrwa w dotychczasowych rozmiarach. Przemawiało zatem zagwarantowane ustawami uwolnienie nowych budowli od podatków na długi szereg lat i notoryczna drożyzna pomieszkań, która iść może w zawody z drożyzną panującą w najludniejszych miastach europejskich. Tymczasem wszystkie te rachuby zawiodły. Wiosna już się rozpoczęła, najlepsza pora do stawiania fundamentów już upływa, a nigdzie nie widać robót około nowych budowli prywatnych, choć spadły znacznie ceny cegły i robotnika. Wielki ruch budowlany z ostatnich lat nagromadził we Lwowie luźną klasę robotników, więc tegoroczny zastój stanowi klęskę społeczną w całem tego słowa znaczeniu. Na nieszczęście nawet roboty publiczne nie dostarczają pracy i dostatecznego zarobku zgłodniałym indywiduom. Miasto ukończyło już budowę gmachów szkolnych, rząd kończy budowę gmachu dla akademii technicznej a rozpoczęta budowa pałacu Namiestnikowskiego nie może zatrudnić wszystkich zgłaszających się robotników. Była nadzieja, że z wiosną rozpocznie się wielka budowa gmachu sejmowego ale snać już wszystko musiało zawieść w tym roku. Budowa ta bowiem wymaga jeszcze ostatecznego zatwierdzenia planów i kosztorysów w sejmie, który zgromadzi się dopiero wśród lata, choć w ostatnich dwóch latach zwoływano go na wiosnę. Sprawa roboników niezatrudnionych i skazanych na nędzę zajęła uwagę ogółu a rada miejska wystosowała memoryał do rządu z prośbą, ażeby budował we Lwowie przynajmniej tyle, ile w innych mniejszych stolicach prowincyonalnych. Tem słuszniejszą jest ta prośba, ile że sam rząd uznał potrzebę postawienia kilku budynków dla władz publicznych. Sądy, poczta, dyrekcya telegrafów i inne urzędy zajmują kamienice prywatne, które w razie opróżnienia znacznie przyczyniłyby się do zniżenia cen pomieszkań. Rząd opłaca za te kamienice wygórowane czynsze i cierpi niewygodę, więc wszystko przemawia za tem, żeby wreszcie i we Lwowie fundusz państwowy wyłożył przynajmniej parę set tysięcy na publiczne budowle. Dotknęliśmy kwestyi wygórowanych czynszów, które zaprawdę nawet rodowitym Lwowianom mogą zbrzydzić pobyt w tem mieście. Nasi właściciele domów już dawno przekroczyli pod tym względem wszelką granicę godziwości i umiarkowania. Za mieszkanie dla rodziny składającej się z trzech lub czterech osób, trzeba u nas płacić czynsz równający się przeciętnej płacy urzędnika niższej kategoryi. Można sobie tedy wyobrazić, jak nędznie mieszkać musi ta klasa ludzi, której dochody nie mogą wzrastać w równym stopniu z cenami pomieszkań i artykułów żywności. Gdyby Lwów cierpiał na przeludnienie, drożyzna pomieszkań miałaby przynajmniej podstawę ale teraz o przeludnieniu nie ma mowy, bo kto nie jest zatrudnieniem związany z naszą stolicą, już dawno się z niej wyniósł na prowincyę. Dla wielkich panów żyjących z renty Lwów jest za mało ponętny na stałą siedzibę, a dla emerytów i innych osób tej kategoryi za drogi. Że zresztą przeludnienia nie ma wcale, że drożyzna pomieszkań jest tylko skutkiem wyuzdanej chciwości naszych gospodarzy, którzy raz przyzwyczaiwszy się do wzrostu cen, ciągle ten stan anomalny utrzymać pragną, dowodzi najlepiej wielka liczba pomieszkań w tej chwili opróżnionych. Jest ich kilkaset, a mimo to jeden i drugi gospodarz woli stracić dwu lub trzymiesięczny czynsz, aniżeli zniżyć cenę i znaleźć zaraz czynszownika.

Co roku w maju odbywała się u nas wystawa obrazów. W tym roku przeznaczono na to jesienne miesiące z powodu odbyć się mającej w tym czasie wystawy krajowej. Choćby nawet nie było wystawy, miesiące jesienne byłyby dla wystawy stanowczo odpowiedniejsze niż wiosenne i letnie, w których Lwów opuszcza zamożniejsza a więc właśnie ta klasa, która najwięcej korzysta z wystaw i z której wystawa najwięcej korzystać może. Za przeniesieniem wystawy na jesień odzywały się już w roku ubiegłym liczne głosy. Obecnie urządził wystawę swoich obrazów p. Wilhelm Leopolski, artysta bardzo utalentowany, jeden z pierwszych w Galicyi. Zgon Acerna Klonowicza, jedno z ostatnich dzieł tego artysty może stanąć godnie obok najświetniejszych utworów współczesnej sztuki polskiej.

B. Ł.

POGADANKA.

Maj, opiewany miesiąc, jako uroczy posłannik wiosny, w tym roku bardzo ozięble nas powitał. Napróżno wszystkie wystawy sklepowe nęcą przyborami do letnich strojów, próżno otwarte budki z sodową wodą, przygotowały napój chłodzący w nadziei wiosennych upałów, których zapowiednię, jakby przez figlarną złośliwość uczynił nam marzec. Przenikliwe bowiem zimno, grad, deszcz i wicher świszczący jak za ś. p. październikowych czasów, zniechęcają do parasolików i jasnych kapeluszy, a nadewszystko do spacerów po nazbyt świeżem powietrzu. Cóż więc się stanie z majówkami, które w myśl jednego z naszych felietonistów, uważającego majówki za najlepszy sposób kojarzenia małżeństw, miały być podobno w powszechnem używaniu? O! łaskawa Czytelniczko, jeśli twe marzenia lśniły się wiosennemi barwami, ze smutkiem przypomnieć ci muszę „zawcześnie kwiatku, zawcześnie! jeszcze północ mrozem dmucha!"

Majówki więc chybiły, a zimowe szlachetne rozrywki, jak prelekcye, wieczory w Towarzystwie Muzycznem, zakończyły swe sezonowe trwanie, zostawując nam tylko, przyjemne wspomnienie chwil ubiegłych. Koncerta też rzadziej się pojawiają na horyzoncie artystycznym, choć taki np. jak Rychtera, słusznie grzmotem oklasków zabrzmiał, echem tej burzy zachwytu, które spotykały zawsze ulubionego sceny pracownika, ilekroć się przedstawił w swojskich, staroszlacheckich typach, nieporównanie umiejąc ich odtwarzać. I niezamożni studenci doczekali się nakoniec od dawna ociągającego się koncertu, który przy sumiennych staraniach p. Müncheimera, w niczem nie zawiódł pokładanych w nim nadziei.

Przedstawienia amatorskie w teatrzyku Dobroczynności również dobiegły kresu. Dwuaktowa operetka Moniuszki p. t. Bettly, jako zupełnie nieznana, wabiła liczne koło wielbicieli naszego mistrza. Wprawdzie byli tacy, co dowodzili, że wygrzebywać z teki zmarłego autora rzeczy, które on sam skazał na zapomnienie, jestto jedna z tych przyjacielskich usług, od których, daj Boże! aby nas strzegły Nieba. Bettly jednak ma kilka świeżych i wdzięcznych pomysłów, jak wszystko co z pod tej natchnionej wychodziło ręki.

Wystąpił także p. Rożniecki z liryczną operetką p. t. „Rien de trop" napisaną w języku francuzkim. Jaki był powód tej cudzoziemczyzny libreta, rzecz małej wagi. Nie usprawiedliwia jej nic a bardzo wiele potępia. Do powodzenia obu tych operetek dźwięczny głos pań: Zachorowskiej i Uszyńskiej, dzielny baryton p. Horbowskiego, potężny bas p. Narkiewicza i tak ujmujący tenor p. Szulca, wiele się przyczyniły.

Teatr też amatorski Tow. Dobr. miał wielkie i zasłużone powodzenie. Kto zna wszystkie trudności towarzyszące podobnem przedsięwzięciom na występ publiczny a dochód dobroczynności obliczonych, ten Komitetowi zabaw nie odmówi uznania i wielkiej staranności. O nowe zatem operetki prosimy. P. Rożniecki szczęśliwie rozpoczął to pójdzie i dalej równie pomyślnie, a panowie Żeleński, Noskowski, Müncheimer i Grosman chętnie z pomocą pośpieszą.

W Szwajcarskiej dolinie już drugi tydzień występuje Fliege z wyborną swoją orkiestrą. Na pierwszym wprawdzie koncercie mimo chłodu i północnego okwilonu, publiczność kuliła się a artyści chuchali w ręce, słuchaczy jednak zebrała się znaczna liczba i słusznie oklaskiwała staranność gry cudzoziemskich artystów. Głoszono o urządzeniu koncertów przez p. Kątskiego w ogrodzie Saskim przy pomocy orkiestry i chórów Instytutu muzycznego, który tak uporczywie odsuwa się od wszelkiej wspólności z Towarzystwem muzycznem. Pogłoski jakoś ucichły, a szkoda! Koncerta podobne miałyby wielkie powodzenie, byleby do wykonywania ich przystąpiono z należytem przygotowaniem i pamięcią na godność sztuki i słuchaczy. Mamy także człowieka rybę, który rzeczywiście w obec widzów zanurza się w basenie napełnionym wodą i przez trzy minuty zostając bez oddechu ucztuje, przechadza się, odpoczywa, pali fajkę, pije, pisze i naśladuje krokodyla Na jeden raz i na jednego to za wiele, a w cenie rublowej za pierwsze miejsce za wysoko. Mimo tej przeszkody finansowej pierwsze przedstawienia dosyć były liczne. Widocznie Warszawa na brak ciekawych narzekać nie może, ale i na wielbicielach malarskiej sztuki i jej przedstawicielach nie zbywa staremu naszemu grodowi.

Siemiradzkiego rozgłośnej sławy malarza, pomimo młodego wieku, znanego już nawet w Europie, przyjmowano składkowym obiadem, do którego przeszło trzysta osób należało. Zastęp to piękny, godny mistrza który z gronem równych mu poetów artystów, świadczy tak pochlebnie o naszym społecznym geniuszu. Jego Sprzedaż amuletów, obraz z trzech figur naturalnej wielkości złożony, zachwycająco wystudyowany w szczegółach, znakomity pod względem rysunku i kolorytu, ktoś nazwał „chwilą wypoczynku," twórcy pochodni Nerona. Być może, że dwie prześliczne rzymianki, kupujące u czarnego przekupnia amulety, nie postaciują żadnej filozoficznej ni poetyckiej myśli, ależ patrzcie na tę cudną blondynę ledwo przysłoniętą tuniką z różowej gazy, na tę pyszną brunetkę we wzorzystej szacie, na starego handlarza z chytrą twarzą, wreszcie na marmury, ozdoby tego starożytnego gynyceum, a przyznajcie, że choćby to było nie *wypoczynkiem* artysty, to jest się czem pochlubić.

Młodym gosposiom co skrzętnie ozdabiają swe ogródki, przybył wyborny, w swoim rodzaju poradnik w książce p. Edmunda Jankowskiego p. t. „Kwiaty naszych ogrodów." Znajdują się tam tablice z różnemi wzorami klombów, tak zdobiących, tak wabnych dla oka jak gdy niby bogaty barwami kobierzec, na zielonym wykwitnie trawniku. Książka pana Jankowskiego traktuje przedmiot z gruntowną znajomością i zamiłowaniem. Zamiast więc bezładnie posianych na grządkach róż, lilii i tymianku, pielęgnujcie raczej kwiatowe dywany, którym upodobanie *comfort'u* stanowiące cechę teraźniejszych gustów, odda pochwałę, a Wam za jednakie trudy estetyczniejszym wywdzięczy się rezultatem.

„Echo" ogłosiło zacną dążnością przejęty artykuł p. Karola Warskiego, w kwestyi praktykantów rolniczych. Autor ubolewając nad zaniedbaniem tej najważniejszej gałęzi przemysłu krajowego, przedstawia projekt ku zaradzeniu złemu, aby praktyka rolnicza nie była wyjątkową, lecz ogólną, przy mniejszych i większych posiadłościach, i zapewniająca kandydatom wystarczające utrzymanie. Czas wprowadzić, powiada, do zawodu rolniczego jak najwięcej sił świeżych, czas otworzyć pole do pracy dla ukształceńszej młodzieży, bo od tego ratunek upadających posiadłości ziemskich w znakomitej części zależy.

Wszystko to prawda, ale w obec tego dowodzenia, znajdziemy drugie, z praktyki życia dworów wiejskich zaczerpnięte. I tak: mniej zamożni właściciele ziemscy, w obecnym stanie rzeczy są tak *mało zamożni*, że osobiście prowadzą zarząd gospodarstwa z pomocą karbowego, który go nie wiele co więcej kosztuje jak zwyczajny parobek, — bardziej zamożni, przyjmując praktykantów, jakby niejako dla ostentacyi, naturalnie wynagradzać ich nie mają ochoty. Dlatego, u nas, rola praktykanta nie jest należycie rozumianą — i o ile w każdem innem przedsięwzięciu, kandydat idzie stopniowo z ucznia na czeladnika, z wyzwolonego na majstra, o tyle młody człowiek z nazwą praktykanta, odrazu domaga się być niemal panem rządcą, mieć odpowiednie utrzymanie, i zastępować samego właściciela, który na mniejszej posiadłości, odpowiedzieć tym wymaganiom nie może.

Nie wyczerpując tego przedmiotu, dorzucamy tylko jedną cegiełkę do budowy, która w tym kierunku, na gruzach naszych wiejskich stosunków wznieść się musi. Na to się tylko bezwarunkowo zgadzamy z autorem artykułu, że to leży we własnym interesie posiadaczy majątków ziemskich, i stanowi jedno z ważniejszych społecznych zadań.

Zimno, smutno i groźno, wszystko drożeje; amatorowie kurcząt i szparagów wzdychają nad omylonemi nadziejami używania swobodnego tych specyałów na świeżem powietrzu, w cieniu drzew, przy muzyce ptasząt... Ha! cóż robić! Na rozweselenie serca, poprawienie humoru, i zapomnienie o przykrościach tego żywota, idźcie do teatru poznać „Wielkiego człowieka do małych interesów."

Komizm genialnego Fredry, a szczególniej nieporównana gra naszych artystów, którzy w hołdzie dla autora najdrobniejszy szczegół jego myśli uwydatnili potęgą swych talentów, tworzy, jak słusznie nazwano, jeden z artystycznych *koncertów* godny wysłuchania. Zapowiadają nam w dalszym ciągu seryę utworów Fredry, również kilka dramatów i komedyi tłumaczonych i oryginalnych. Niedługo też i ogródkowe świątynie Melpomeny zawrą życiem, szkoda tylko, że piękna bogini zniża się tam tak często, do zawierania spółki, z nowożytnym bożkiem... kufelkowym, któremu szczególnie oddały się w służbę dzieci Merkurego. Bądź co bądź jednak, ogródki cieszą się zasłużonem powodzeniem, a jak jeszcze przyjedzie towarzystwo sztucznych jeźdźców pod dyrekcyą Salamońskiego, i utrwali się ciepło wraz z wycieczkami na Saską Kępę, do Wierzbna, Wilanowa, Czerniakowa i Bielan, to Warszawa letnie miesiące spędzi jako tako byle jej nie brakło środków do możności korzystania z nastręczających się jej rozrywek.

Korespondencya z Berlina.

Nędza w Niemczech. — Emigracya do Ameryki. — Liczba poległych w wojnie 1870—1971 r. — Moguncya, zakłady zapasów wojennych. — Okręta całego świata. — Katastrofa w Steinbrück. — Jubileusz Krystyana-Daniel Rauch. — Śmierć Mosenthal'a — *Tell i Gessler* Rochhaltz. — *Idealizm i realizm* Ludwika Weitz. — Szkice filozoficzno historyczne p. Mehring. — *Zarysy Wyższego Egiptu, Pustyni i Morza Czerwonego* Klunzinger. — Nowe wydanie dzieł Adolfa-Fryderyka von Schack. — Wystawa artystyczna w Monachium. — „Mercadet" Balzac'a przerobione na „Księcia spekulacyi." — Wagner i król bawarski.

(Dokończenie).

Pod skromną nazwą *Szkiców* ukazało się jednotomowe dziełko, wkraczające także w dziedzinę spekulacyi teoretycznych i przedstawiające czytelnikowi bogate poglądy w przedmiocie mało jeszcze zbadanym, to jest w filozofii historyi. Od czasu Hegla nie pojawiło się jeszcze nic tak głęboko obmyślanego. Autor *Szkiców* p. Mehring, nie uważa historyi za proste nagromadzenie faktów wynikających z przypadku lub fatalności; według niego zasadą, podstawą historyi jest człowiek, jego umysł i rozwój władz i zdolności. Człowiek, mówi on, tworzy czasy i wszystko odnosi do samego siebie. Pracuje w obecności w widokach przyszłości, będącej niczem innem jak jego rozwojem; dla każdego z nas, przeszłość istnieje tylko o tyle, o ile możemy spożytkować ją na przyszłość. Z pomocą „wczoraj" tworzymy sobie żyjące „jutro." Te ludy są ucywilizowane których rozwojowi przewodniczyła idea moralna, i takie jedynie mają historyę w prawdziwem słowa tego znaczeniu. Kształtowały się regularnie, normalnie, według pewnych praw stanowiących prawa ludzkości. Jest to poznanie popędów ludzkości do nieskończonego udoskonalania się, istniejące jako istota zbiorowa niezależnie od jednostek. Ta to właśnie świadomość wywięzująca się z historyi, stanowi główny jej interes. Tak więc postęp stanowi główną istotę ludzkości, i to jest dobro — zaś zło jest to stawianie zawad postępowi. I ztąd wynika że człowiek żyje tylko dla przyszłości, że do niej zwraca wszystkie myśli swoje, zapominając o obecności, a tak postępując jest posłuszny prawom swej natury.

Podałem w krótkości daną filozoficzną, na której p. G. Mehring opiera swe *Szkice* filozoficzno-historyczne.

Z kolei wspomnieć muszę, o *Zarysach Wyższego Egiptu, Pustyni i Morza Czerwonego* przez p. Klunzinger. Jest to nadzwyczaj zajmujący opis podróży, z dodaniem dwudziestu dwóch widoków i iluminacyi zamieszczonych w tekście. Nie ma może dotąd równie zajmującego opisu kraju i obyczajów tegoczesnego Egiptu. Pan Klunzinger nie idzie wzorem poprzedników swoich, nie ogranicza się na poznaniu i opisaniu miast wielkich, ale zwiedza małe miasta prowincyonalne i wioski, żyje życiem ich mieszkańców — i to właśnie nadaje jego książce cechę oryginalności. Nie opowiada z dnia na dzień osobistych wydarzeń, ale podzielił dziełko swoje na cztery części, odnośnie do przedmiotu o jakim traktować zamierza, i nie opuszcza żadnego działu dopokąd go zupełnie nie wyczerpie. I tak w jednym rozdziale opisuje nam domowe życie Egipcyan, w innym życie religijne i t. p. P. Klunzinger jest doktorem; dzięki temu powołaniu miał wstęp do ognisk rodzinnych, a tem samem doskonałą sposobność do poznania tak mało dotąd znanych obyczajów. Już to nigdzie nie stara się zajmować własną osobą co wielką wartość i powab książce nadaje. Do najciekawszych należą rozdziały traktujące o morzu Czerwonem i jego przyrodzonych produktach. Dziełko p. Klunzinger jest wybornem dopełnieniem słynnego opisu Egiptu przez angielskiego podróżnika p. Lane, jako opisujące życie prowincyonalne o którem tamten zupełnie nie wspomina.

Świeże wydanie dzieł Adolfa-Fryderyka von Schak zwróciło uwagę na tego współczesnego pisarza, który dał się poznać z tylu prac w najrozmaitszych kierunkach, a wszystkie mają niezaprzeczoną wartość. Ten książę niemieckiej literatury przyozdobił swe skronie potrójną koroną, jako poeta liryczny, epiczny i dramatyczny. Z ośmiu obecnie wydanych tomów można już prawie sąd wydać o nim. Mówię, prawie, bo poeta ma dopiero lat sześćdziesiąt dwa i może jeszcze niejeden znakomity stworzyć utwór.

Dzieła jego są tak odmienne, tak różnorodne, iż każde niemal nowym nacechowane jest charakterem. Cóż może być sprzeczniejszego jak poetyczna tragedya jego pod nazwą *Pizanie* z humorystycznym romansem *O wszystkich i o wszystkiem*? a jakże to znów od obu tych utworów różni się posępna opowieść p. n. *Lotaryusz*. Od ludzi z umysłem tak świetnym niby pełen ognia brylant w rozliczne narzynany ścianki, tak żywo odbijającym wszelkie doznane wrażenia, zawsze czegoś nowego nadspodziewanego można oczekiwać. Gdyby mi kazano określić w jakim kierunku najwięcej uwydatnia się zdolność poety-romansopisarza, powiedziałbym że w rodzaju poważnym, wzniosłym, dramatycznym; przynajmniej wszystkie jego w tym rodzaju utwory, daleko głębsze zostawiają wrażenie, niż inne, wesołe nacechowane humorem i werwą.

Dziś w całych połączonych Niemczech, Schak cieszy się rozgłośną sławą i uznaniem i liczy tysiące gorliwych wielbicieli. Głębokość pomysłów i myśli, potęga stylu i uczuciowa strona dzieł jego, zapewniły mu pierwszorzędne stanowisko w tegoczesnej literaturze, w której prawie do klasyków zaliczyćby go można.

Często odbywane podróże na Wschód, przyczyniły się wielce do rozwoju poetycznych jego zdolności. Umiał on bardzo szczęśliwie przejąć pewne własności literatury wschodniej, zawsze jednak pozostając sobą i nigdy nie wpadając w proste naśladownictwo.

Podaję tu treść jednego z jego „epizodów" pod tytułem *Noce Wschodu*.

Sprzykrzywszy sobie Europę której klimat naraża na reumatyzmy, a przykra woń z cygar rozlana w atmosferze, na katary, zaś rozbijanie fortepianów męczy i zagraża słuchowi, poeta udaje się do Libanu, do krainy Piramid, pod której bezchmurnem niebem, śmiertelnicy nie znają nędzy ani kłopotów. Stanąwszy u kresu podróży, opiewa uszczęśliwienie jakiego zaznał mogąc wolnem oddychać powietrzem, rozglądać się w tych bezbrzeżnych horyzontach, równie niezmierzonych jak przestrzeń w której myśl się gubi. Wkrótce jednak zaczyna się rozczarowanie. I tam, równie jak wszędzie, nie sama panuje doskonałość; przekonywa się więc wkrótce że szaleństwem

j est szukać szczęścia wśród dzieci natury. Gdy tak przygnieciony smutkiem, siadł u stóp odłamka kolumny, ukazuje mu się siwowłosy starzec. Jest to czarodziej posiadający cudowny talizman. Komu da wypić kroplę pewnego napoju, wrota przeszłości staną dlań otworem. Wszystkie wieki przesuną się przed nim tak wyraźnie jak rzeczywistość, i może wybrać epokę w którejby żyć pragnął.

Poeta przyjmuje zaofiarowanie i probuje żyć we wszystkich z kolei wiekach. W początkach rodu ludzkiego stacza walki z potworami przedpotowemi i z podobnymi sobie ludożercami. W starożytności ciąży nad nim niewolnictwo; w średnich wiekach poddaństwo, i tak z kolei przechodzi wszystkie epoki dziejowe i w końcu poznaje że epoka obecna w której na świat przyszedł, po nad wszystkiemi upłynionemi niezaprzeczone ma pierwszeństwo. Wtedy starzec, posiadacz talizmanu, opowiada mu że i on także pragnął zbadać i porównać przeszłość z teraźniejszością i zrozumiał w końcu że ludzkość posuwa się nieustannie na drodze postępu do piękna i dobra. W pięknych, pełnych siły i wzniosłości wierszach, poeta rozwija i ukazuje ten cel życia i cywilizacyi. Starzec znika nagle; odgłos grzmotu budzi poetę — poznaje że widzenie to snem było tylko. Ale skorzystał z nauki; opuszcza co prędzej Wschód i wraca do Niemiec, do ojczyzny swojej, do życia walk i trudów podejmowanych w celu popychania swych współziomków na drodze postępu.

Z tej małej próbki poetyczno-filozoficznej, można powziąść pewne wyobrażenie o charakterystyce talentu Schak'a; jakiekolwiek rozwija pojęcia, pozostaje zawsze poetą, zawsze wiernym plastycznej formie i pięknemu kolorytowi.

Ostatnia Wystawa artystyczna w Monachium rozbudziła fanatyczny zapał dla utworów malarza Kornelius'a, — choć wystawiono tam tylko fotografie kilku obrazów słynnego tego artysty niemieckiego. Z tej okoliczności wygłaszano znowu wszelkie transcendentalne teorye sztuki „intelektualnej, umoralniającej, filozoficznej" etc. takiej jaką praktykowała przed laty trzydziestu cała szkoła „myślicieli." Po raz setny już może, przyrównywano Kornelius'a do Kant'a, Schelling'a i Schiller'a. Chociaż najzupełniejsi jego wielbiciele zmuszeni są przyznać, że pod względem kolorytu, malowidła Kornelius'a wiele bardzo zostawiają do życzenia, że można nawet wykazać w nich niezaprzeczone błędy rysunku — lecz ich zdaniem, wady te okupione są stokrotnie głębokiem poczuciem i moralnem znaczeniem traktowanych przedmiotów. Według nich Kornelius jest najpierwszym, najznakomitszym z malarzy niemieckich, nie dlatego że malował lepiej od innych, ale że lepiej czuć umiał. Każdy przyzna że trzeba być niemcem żeby poprzestać na takiej estetyce.

Ciż sami teoretycy malowania intelektualnego i umoralniającego, uwielbiają w malowidłach przedstawiających bitwy, nie sztukę mniej więcej zręcznego grupowania mass lub też umiejętnego zestawienia form i kolorów, ale podniosłe wrażenia jakie wywołują podobne obrazy, to jest miłość ojczyzny, ducha poświęceń, bohaterstwa, a szczególniej przywiązania jakie w sercach widzów budzą dla monarchy. Jeden z tych górnolotnych krytyków, mówiąc w ostatnich obrazach Bleibtren'a: *Wieczór po bitwie w Mars-la-Tour* unosi się nadewszystko nad uczuciem bezgranicznego poświęcenia, jakiem tchną twarze wszystkich żołnierzy pruskich dla swego zwycięzkiego monarchy.

Ponieważ Niemcy są przedewszystkiem narodem militarnym, nic więc dziwnego że malarze bitew mają w nich pierwszeństwo przed innymi. Z Artystów tych odznacza się bawarski malarz, Fryderyk von Bodenmüller, którego ostatni obraz *Bitwa pod Woert* licznych znalazł wielbicieli. Malarz ten wymalował już pierwej *Bitwę pod Sedanem*, znajdującą się obecnie w Pinakotece bawarskiej w Monachium.

Bitwa pod Woerth przedstawia chwilę w której Francuzi zaczynają się cofać, między trzecią a czwartą po południu. Na prawo widać drogę i ów „stary młyn" pod którym zebrała się armia niemiecka przed zajęciem lasu, z którego sypał się grad kul z szaspotów i kartaczownic. Na lewo widać lesiste wyżyny Froeschwiller, przez które idzie droga prowadząca do tej miejscowości. Bawarczycy, przyłączeni do 4-o pułku pruskiej piechoty, gotują się do marszu i uderzenia na Francuzów. Na skrzyżowaniu widać grupy wziętych w niewolę turkosów i żuawów; pilnujący ich strzelec bawarski, pozdrawia swoich towarzyszy gotujących się do ataku. Nieco w oddali, na drodze wiodącej do lasu, widać jenerała Stephan'a jego adjutanta i oficera służbowego. W pewnej odległości za nimi defilują wojska przed jenerałem von der Tann, dowódzcą 1-go korpusu armii bawarskiej. Jest on otoczony licznym sztabem, w którym wszystkie twarze są portretowane i po większej części doskonale trafione, co wiele wartości dodaje obrazowi. Przeszło trzydzieści osób można poznać od pierwszego wejrzenia.

Jak już pierwszy obraz tak i ten nabędzie pewnie Ludwik król bawarski i także rozkażę pomieścić go w Pinakotece.

W oddziale rzeźby najwięcej zwraca uwagę piękny model posągu Schakespeare'a, zamówionego do Ameryki u snycerza Ferdynanda von Müller, oraz pełne życia popiersie księcia Karola, dłuta profesora Roth. Artysta ten długi czas nie dawał dzieł swoich na Wystawę, ale ostatnim utworem stanął w rzędzie najcelniejszych niemieckich snycerzy.

W miesiącu marcu przedstawiono w Berlinie sławną komedyę Balzac'a *Mercadet*, przechrzczoną na *Księcia spekulacyi*. Typ spekulanta z przed pięćdziesięciu laty znalazł powodzenie w publiczności berlińskiej, i nie dziw, bo w następstwie wojny 1870 do 1871 roku, Niemcy ujrzeli u siebie całe setki Mercadet'ów na małą skalę, których gorączkowe spekulacye wywołały owe straszne klęski finansowe jakie wstrząsnęły Europą przed dwoma czy trzema laty, a które najniezawodniej oddziałały także i na obecne przesilenie. Autorem tej przeróbki jest p. Lindner; powinien był jednak do zmian wprowadzonych dodać i zmianę liczb figurujących w dyalogach, gdyż ówczesne nie nadają się w żaden sposób do szacherstw i matactwa dzisiejszych spekulantów. Dla giełdowników z czasów Balzac'a, 150,000 fr. passyw'ów, wydało się długiem nader wielkim gdyż rzucali się w wir giełdowy, z kapitałem 8,000 fr. Trzykroć — sto — tysięcy franków byłoby Mercadet'a ocaliło od bankructwa — taka bagatelka! Od czasów Mires'a, Philipparta et tutti quanti, owe setki tysięcy podane w sztuce Balzac'a, na miliony zmienić należało.

Pomimo niemal zupełnego fiasco w Beyreuth, mistrz Ryszard Wagner nie przyznaje się do przegranej. Rozesłał po muzykalnym świecie niemieckim najdziwaczniejszy okólnik jaki kiedykolwiek mógł się wyłądz w ludzkiej mózgownicy. Dobre to że w Niemczech śmieszność nie zadaje śmiertelnego ciosu, gdyż inaczej autor *Niebelungen-Ring* byłby dawno już zabity i zagrzebany. Aby uniknąć nieprzychylnej krytyki, *niepojęty autor* oznajmia: iż tylko posiadający certyfikat członka „stowarzyszeń Wagnerowskich" dowodzący że są gorącymi wielbicielami muzyki przeszłości, będą dopuszczani na przedstawienia jego tetralogii. Z początku mniemano że to jakiś zacięty wróg wielkiego Wagnera urządził taką mistyfikacyą — po bliższem zbadaniu niepodobna było wątpić o autentyczności cyrkularza. Bilety wejścia mają kosztować o trzecią część mniej jak w roku przeszłym — *tylko* 125 fr. na cztery przedstawienia. Lecz nauczony doświadczeniem, maestro wie że nie może liczyć na gorliwość swych wielbicieli, zatem zamierza zrobić podanie do Parlamentu pruskiego, o roczną subwencyę 150,000 marek — i spodziewa się że deputowani nie poważą się odmówić takiej drobnostki twórcy „narodowej sztuki niemieckiej."

Obecnie jednak mówią że z powodu grożących zaburzeń, Wagner odstąpił od zamiaru urządzenia przedstawień w swoim teatrze, nie chcąc ryzykować dość znacznego nakładu. Za to wbrew uprzednim postanowieniom, ma dać upoważnienie wszystkim teatrom niemieckim, aby, jeźli zdołają, wystawiały sławną tetralogię.

W Wiedniu robią już przygotowania do przedstawienia *Walkyryi* z wielkim przepychem scenicznym. Wiele bardzo mówią o pięknej dekoracyi, w której ukazuje się cały zastęp pędzących wśród chmur na koniach bogiń skandynawskich. Aby odgłos kopyt końskich żadnego niewydawał odgłosu, gdyż mogłoby to psuć złudzenie, będą galopować po gruncie kauczukowym, a i kopyta końskie mają być otoczone takąż massą, — tym więc sposobem będą mogły pędzić cicho, jakby po chmurach. Taka drobiazgowość wystawy scenicznej, jakiej domaga się autor *Walkyryi* uważający się za najpierwszego tegoczesnego muzyka, mimowolnie naprowadza na myśl: iż gdyby był pewny że muzykalny jego geniusz zdoła zachwycić i porwać słuchaczy, nie troszczyłby się tak bardzo o kostiumy i dekoracye.

Zapewnie pamiętają „Czytelniczki Tygodnika Mód" iż przy każdej sposobności Wagner oznajmiał stanowczo, że nigdy nie zezwoli na cząstkowe wykonywanie utworów swoich, które jego zdaniem, nie dają się dzielić. Otóż, ze względu na ciężkie czasy, i od tej zasady odstąpił, gdyż obecnie zamierza podczas sezonu londyńskiego udać się do stolicy Anglii, aby tam wykonać „wyjątki" ze swoich oper.

Król Ludwik bawarski nie ostygł dotąd w przyjaźni i uwielbieniu dla swego ulubieńca, nie przestaje on czerpać z kassy Państwa ogromnych sum na fantazye mistrza Wagnera, który ma nowym okryć blaskiem ojczyznę Haydn'a, Mozart'a, Bethoven'a. Obecnie kazał wznieść zupełnie taką chatkę jak przedstawiona w I-ym akcie „Walkyriów." Stanęła ona w lasku należącym do zamku Hohenschwangen, w Alpach bawarskich, nad brzegami Schwanensee. We wnętrzu budynku wznosi się ogromny jesion, którego rozłożyste konary tworzą dach chaty. W Walkyriach Siegmund zbłądziwszy w lesie szuka schronienia w owej chacie i tam spotyka się z siostrą swoją Sieglindą, małżonką Hundinga, wroga jego plemienia. Księżyc pięknym blaskiem oświeca scenę. Ten właśnie ustęp wybrał król bawarski, aby go przedstawiać nad brzegami jeziora podczas księżycowych nocy.

Przegląd literacki.

Ateneum i Biblioteka Warszawska za styczeń, luty i marzec 1877.

Podając zwykłe sprawozdanie kwartalne o dwóch naszych czasopismach poważnych, umyśliliśmy odtąd zaprowadzić w nich taką zmianę, ażeby o obydwóch mówić jednocześnie, zestawiając równolegle objawy ich działalności i porównywając nawet, o ile mo-

żności, odpowiednie działy i pojedyncze podobnej treści artykuły obydwóch. Takie porównawcze oceny z łatwością i same przez się wykażą czytelnikom, o ile w danym czasie jedno lub drugie z tych pism wyróżnia się lub celuje rozmaitością, bogactwem treści, kierunkiem i zaletami swoich części składowych. Będą to pierwsze tego rodzaju oceny porównawcze w naszem piśmiennictwie czasowem, które od niejakiego czasu zupełnie nie zajmuje się przeglądami innych wydawnictw peryodycznych. Objaw to dość dziwny i niepocieszający, tem bardziej że wybujała (może nawet nieco chorobliwie) prasa peryodyczna jest obecnie polem popisu wszystkich naszych literackich talentów i talencików i pochłania prawie całą naszą produkcyą literacką. Dla braku więc sprawozdań, częstokroć prace niepospolitej wartości toną bez ratunku na zawsze w szpaltach licznych czasopism, umierają po krótkiem efemerycznem istnieniu, przez większość czytelników może nieczytane, tak że nawet później, gdyby kto i pragnął, nie będzie wiedział, gdzie ma szukać tej lub innej zajmującej i pouczającej pracy. Sprawozdania krytyczne powinnyby przede wszystkiem mieć na celu ratowanie od dziennikarskiej krótkowieczności tych artykułów, zdań, wiadomości i poglądów, które mogą zbogacić wiedzę i uszlachetnić pojęcia czytelników; przy tem bezstronna i rozumna krytyka powinna wytykać błędy i opaczne kierunki, przestrzegając przed niemi publiczność, której część znaczna już to nie posiada zmysłu krytycznego i realnych podstaw do krytyki, już to przywykła jeszcze przywiązywać wielką wagę do słowa drukowanego. Przyczyny takiej obojętności literatów na produkcye swoich kolegów po piórze zbyt są liczne, ażebyśmy tu mogli kusić się o wyczerpujące ich przedstawienie. Zaznaczymy więc tylko, że najmniej czytają, a nawet przeglądają czasopisma właśnie literaci, zapewne z braku czasu; że działalność krytyczna w ogóle ma bardzo niewielu przedstawicieli, jako wymagająca, stosunkowo, większej kwalifikacyi i nietyle może popłacająca, co inne dorywcze roboty obstalunkowe; że następnie wspólnictwo pracowników i innych interesów zbyt ściśle łączą pomiędzy sobą rozmaite grupy pism peryodycznych, ażeby które z nich mogło inaczej jak pochwalnie odzywać się o pismach sprzymierzonych; że przy znacznej drażliwości cechu literackiego i zapalnem usposobieniu do polemiczności, jeszcze nie ustaliła się u nas różnica pomiędzy słuszną, choć surową krytyką i szykaną lub napaścią; że wielu odstrasza przypowieść ewangeliczna o źdźble i belce, a choć czasem zastosowanie takowej mogłoby być tu i owdzie w naszej prasie uzasadnionem, wszelako tylko u nas istnieje zasada, jakoby krytykować inne pisma mogło tylko takie pismo, które jest samo bez zarzutu; że nakoniec, kładąc wyżej obawę pseudo-dowcipnych konceptów nad interesa ważniejsze i ogólniejsze, wyrzekamy się przeglądu czasopism dla tego, że któryś z humorystów nazwał to „grą w cenzurowanego."

Po tych kilku słowach, mających na celu pobieżne zwrócenie uwagi publiczności na konieczność i pożytek sprawozdań o prasie peryodycznej, a piszących — na błahość niektórych pobudek, od tej pracy ich powstrzymujących, przystępujemy do porównawczej oceny 6 zeszytów Ateneum i Biblioteki z upłynionego kwartału.

Zaczniemy od *filozofii*. W lutowym zeszycie Biblioteki rozpoczętą została praca p. Straszewskiego p. n. „Spinoza i dzisiejszy panteizm" poświęcona filozofowi, o którym niedawno był umieszczony artykuł w Tygodniku Mód. Zakres pracy pana S. widocznie bardzo obszernych, a Biblioteka umieszcza ją w dozach prawdziwie homeopatycznych: w zeszycie lutowym 7, a w marcowym 8 stronic, razem 15 stronic, zawierających jedynie biografią Spinozy i wstęp. Zapewne więc dużo upłynie czasu, zanim z tych kawałeczków złoży się całość, o której można będzie wydać sąd stanowczy. Tymczasem praca pana S. zapowiada się dość słabo: samo już stanowisko, zajęte przez autora przy klasyfikacyi systemów filozoficznych, jest zupełnie błędne, gdyż autor zlewa w jedno teorye *religijne* i filozoficzne i dzieli jedne i drugie razem, podług pojęć o Bogu, na *teistyczne* i *panteistyczne*. Dziwne to zaprawdę pomięszanie filozofii z religią, o których różnicy i niezależności wie dziś nawet niespecyalista. Również błędnie autor przypisuje religii i filozofii żydowskiej zbyt wielki wpływ na teoryą Spinozy, nie wiedząc, czy zapominając, że nazwa *filozofa religijnego* jest nawet niemożliwą, jako wewnętrzną sprzeczność w sobie zawierająca i że na 20 wieków przed Spinozą filozofowie elejscy doszli już do panteizmu metafizycznego, nie znając wcale religii ani filozofii żydowskiej (ob. artykuł Benedykt Spinoza w Tyg. Mód N. 12). Język autora nie celuje poprawnością, a styl jasnością ani wdziękiem; znaleźliśmy tu np. takie usterki jak *odmawia nieśmiertelność* i *wolność* (zam. nieśmiertelności i wolności, Luty str. 217); „nie zadawalnia się już *więcej* rozważaniem" (*więcej* tu zbyteczne, Marzec str. 321); „*modlę*" (tamże str. 325).

Artykuł filozoficzny, który znajdujemy w Ateneum (zeszyt marcowy) p. n. „Filozofia i Wiedza" przez p. H. Goldberga, ma nierównie więcej wartości od powyższego. Autor zastanawia się tu pokrótce nad stopniowym upadkiem filozofii i nad jej niemocą w rozwiązaniu najwyższem zagadnień i kwestyi „istoty rzeczy"; ztąd wnosi, że filozofia niczem prawie nie zbogaciła wiedzy i w gruncie jest *poezyą* to jest fantastycznem marzeniem, dziełem wyobraźni. W tych wszystkich wywodach dużo prawdy, opartej na trafnem zestawieniu najnowszych kierunków filozoficznych i badań w tym przedmiocie; niekiedy jednak autor dochodzi do zbyt krańcowych i niezupełnie słusznych wniosków. Tak, prawdą jest że filozofia nie rozstrzygnęła dotychczas najważniejszych zadań, nie dotarła do istoty rzeczy, ale tego nie dosięgła również żadna inna nauka: żadna z tych umiejętności, które, jak powiada autor, zastąpiły filozofią, nie wyjaśniła co jest dusza, co jest materya, światło, ciepło i t. d. zkąd i dla czego istnieje dwoistość ducha i materyi, co dzieje się w mozgu w czasie myślenia i t. d. Autor, idąc za Kantem, powiada, że filozofia do istoty rzeczy nigdy nie dotrze: być może, ale to samo znaczy, że i żadna inna nauka tego nie zgłębi, gdyż Kant mówi, że powyższe i podobne kwestye są nieprzystępne w ogóle dla rozumu ludzkiego, a więc dla rozumu naturalisty, chemika i matematyka, zarówno jak i dla rozumu filozofa. Inni sądzą, że może nadejdzie kiedyś czas, gdy połączonym siłom rozumowania i nauk doświadczalnych powiedzie się zgłębić do gruntu najwyższe kwestye; wszelako pożyteczną jest rzeczą, z pobudek praktycznych, żywić tę nadzieję, a więc nie zaniedbywać doskonalenia filozofii, zarówno jak i innych nauk. Przedmiot filozofii stanowi zawsze duch ludzki we wszystkich jego objawach i w stosunku do świata zmysłowego. Co do pożytku filozofii, niesłuszną jest rzeczą zapominać o tem, że ona to właśnie wykształciła myśl ludzką we wszystkich kierunkach i wypiastowała prawie wszystkie te nauki, które obecnie radeby podzielić się jej przedmiotem. Do dziedziny *poezyi*, w znaczeniu fantastycznego marzenia o uniwersalności, należały i należą te tylko systemata filozoficzne, które drogą dowolnego apryorystycznego rozumowania pragnęłyby wytłomaczyć wszystko i wykryć wszystkie prawdy.

Teraz przechodzimy do *historyi*. W obu pismach znajdujemy po jednym artykule historycznym: w Ateneum — obszerną pracę pana Jarochowskiego p. t. „Sprawa Kalksztejna" (we wszystkich trzech zeszytach), a w Bibliotece — krótki artykulik p. Pławskiego „Wojna Zygmunta I z Bohdanem.

„Sprawa Kalksztejna (1670—1672") jest zapewne mało znaną naszym czytelnikom; obecnie po raz pierwszy p. Jarochowski przedstawił tak wyczerpująco, opierając się na dokumentach tajnego archiwum berlińskiego, ciekawy ten ustęp z historyi polskiej, który, oprócz tragicznego losu bohatera, ma niepoślednią wagę dla dziejów stosunku pomiędzy Polską i Prusami. Autor rozpoczyna swą pracę wyczerpującym obrazem stosunku Krzyżaków do dzierżonych przez siebie ziem pruskich; maluje ucisk miast i szlachty pruskiej, ich nienawiść do zakonu i jednomyślne usiłowania w celu zyskania pomocy Polaków i powrotu do Polski, co jak wiadomo i nastąpiło po części za Kazimierza Jagielończyka 1466 r. gdy Prusy zachodnie i część wschodnich przyłączone zostały napowrót do Rzeczypospolitej, a reszta Prus wschodnich pozostała pod panowaniem zakonu, a od 1525 r. — książąt pruskich z domu brandeburskiego, w lennej zawisłości od Polski. Dalej opowiada nam autor walkę książąt pruskich i elektorów brandeburskich z duchem niezależności, który cechował miasta i szlachtę pruską i z sympatyami do Polski, które mieszkańcy, acz Niemcy z pochodzenia i języka, stale aż do końca XVII wieku żywili. Elektorom nie chodziło o narodowość, ale o wzmocnienie własnej władzy: gwałcili więc swobody i przywileje Prus, dążąc do władzy absolutnej. Ciekawe dzieje tej polityki zupełnie w nowem świetle przedstawiają zawiązek teraźniejszego państwa pruskiego: poka zuje się, że nawet kolebka państwa — Prusy wschodnie — była niejako przemocą i przewrotną polityką ujarzmiona. Następnie wykazuje autor, jak po uwolnieniu elektora od hołdu królowi polskiemu, w r. 1657 dokonanem śród najsmutniejszych okoliczności przez Jana Kazimierza w Welawie, miasta i stany pruskie oponowały przeciwko zerwaniu tych węzłów z Polską i toczyły walkę z elektorem o swoje prawa i przywileje, mając zwrócone oczy na Warszawę, posyłając do króla i sejmu jawnych i tajnych agentów, w celu przywrócenia lennej zależności od Rzeczypospolitej. Zabiegi te były jednak bezskuteczne, z powodu smutnego stanu zupełnej niemocy i wyczerpania, w jakim znajdowała się Polska w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza i pod jego następcą Michałem. Pomiędzy stronnikami Polski w Prusach najgorliwszym był pułkownik Kalksztejn, który uprzednio służył w wojsku polskiem pod Czarneckim; więził go więc elektor i prześladował, aż nareszcie Kalksztejn umknął do Warszawy. Znalazł tu posłuch u niektórych panów polskich i zyskał opiekę samego króla Michała i jego krewnych, ale jego agitacya w celu zniweczenia układów welawskich była bezskuteczną. Kalksztejn, jak go maluje nam autor, przy najlepszych chęciach, nie był dobrym politykiem, ale raczej krzykaczem, nieostrożnym w pogróżkach i lekkomyślnym w przechwałkach: w Warszawie lżył elektora, nie ukrywał swojej ku niemu nienawiści i odgrażał się, że wprowadzi wojsko polskie do Prus i uwolni je z pod władzy elektorskiej. Oburzony elektor — był to ostatni władca Prus z tym tytułem, zwany przez historyków niemieckich *wielkim elektorem*, ojciec Fryderyka pierwszego króla pruskiego — żądał wydania Kalksztejna, jako zdrajcy i buntownika, ale gdy król Michał odmówił, elektor postanowił porwać gwałtem i podstępem swojego wroga, czego i dokonał. Stała się więc rzecz oburzająca: ze stolicy Rzeczypospolitej, pod opiekę której uciekł się wier-

ny jej stronnik i stary żołnierz, z pod boku króla, który go protekcyą swoją zaszczycał, poseł elektora i wysłani przez niego siepacze porwali gwałtem Kalksztejna i uwieźli do Prus, gdzie po długiem ciężkiem więzieniu, srogiem badaniu i torturach, został nakoniec ścięty.

Cały przebieg procesu Kalksztejna, jego więzienie i ostatnie chwile, zawziętość mściwego elektora, nacisk wywierany przezeń na litościwszych od niego sędziów—wszystko to przedstawia autor żywo i wzruszająco. Niemniej we właściwem świetle przedstawia się machiawelizm i obłuda elektora, który sam daje instrukcye swoim ajentom, jak mają porwać Kalksztejna, a przed królem i Rzecząpospolitą zaklina się, że nie wie o niczem i nawet obiecuje złożyć komedyą sądu na sprawców porwania. Oburzenie Rzeczypospolitej na gwałt elektorski prędko ostygło i pozostało bez zadośćuczynienia, nie mówiąc już o tem, że na korzyść nieszczęśliwego Kalksztejna Polska nic skutecznego nie przedsięwzięła. Najsmutniejszą wszelako rzeczą jest postępowanie niektórych panów polskich, działających na korzyść elektora, intrygujących w jego interesie i broniących jego postępowania: byli oni, niestety, jak to nieraz zdarzało się w stosunkach magnatów z ościennemi dworami, przekupieni przez elektora, który w przytoczonych przez autora listach oznaczał kwoty, ile komu z wpływowych senatorów jego partyi dać wypada. Po wstąpieniu na tron Sobieskiego, sprawa utarła się i sprawcy zamachu wrócili nawet do Warszawy, jako ajenci elektora, ażeby i nadal pilnować interesów swego pana. Śmierć Kalksztejna była straszną nauką dla opozycyi pruskiej i od tego czasu gasną już w Prusach wschodnich sympatye do Polski i szlachta pruska ulega żelaznej woli władców brandeburskich.

Artykuł „Wojna Zygmunta I z Bohdanem" (w zeszycie lutowym Biblioteki) poświęcony jednemu i to niezbyt ważnemu epizodowi z dziejów panowania Zygmunta. Ciekawy tu jest opis rokowań z Wołoszą, przy pośrednictwie Węgrów i chana krymskiego, którego Bohdan mianował się „synem." Znajduje się tu także dokument, po rusku pisany, zawierający odmowę panów litewskich, gdy Zygmunt od nich wojska zażądał. Mówiąc nawiasem, niechby choć z tego artykułu nauczyli się niektórzy z piszących, że to Mołdawią przodkowie nasi nazywali Wołoszczyzną, dzisiejszą zaś Wałachią mianowali Multanami, nie zaś odwrotnie, jak to nieraz czytamy.

Nie zawadzi tu jeszcze wspomnieć, że Biblioteka Warszawska stale jest ubogą w artykuły treści historycznej; Ateneum zaś, od samego początku stara się zaopatrywać w prace historyczne z Krakowa, Poznania i Lwowa, gdzie jeszcze są ludzie, zajmujący się historyą krajową.

(d. n.)

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Krajobrazów przybyło kilka, i ładnych: Pan Ruśkiewicz, prawdziwy artysta w tym rodzaju, dał nam: *Widoki morskie*, śliczne studyum fal, lubo w ścieśnionych trochę ramach.

Kościół wiejski i *Widok Sandomierza*, t. j. Fary, Kolegiaty i domu Długosza. Dobra perspektywa, trafny koloryt, i wdzięczny wybór przedmiotów, cechują prace naszego zasłużonego krajobrazisty.

Część parku w Kaliszu p. Balukiewicza, oddana z wiernością szczerą i umiejętnie. Liście na drzewach zdają się szeleścić za podmuchem wietrzyka, woda jest bieżącą, przejrzystą; znać p. B. rozumie i odczuwa naturę, i odtwarza ją z talentem.

Zima p. Wastkowskiego, przypomina jeden z bardzo częstych wydarzeń śnieżnej zamieci: na wózku, licho ciągnionym szkapiną, siedzi przysypana płatkami śniegu kobiecina, a towarzysz jej wywołanej z chaty gospodyni, pyta o drogę, boć wszędzie biało, i trafić nieświadomemu niepodobna, a i mrok niedługo zapadnie... i wilki się kręcą. Oj! gdybyż do domu dojechać szczęśliwie, a ograć się przy kominku...

Przy kominku, toż i tytuł pracy p. Piechowskiego ależ nieudatnie wykonanej! Błędy rysunku rażące, krzesło poręczą dotyka na przeciwległej ścianie ponad biórkiem zawieszonego obrazu — przed kominkiem stereotypowe postacie prządek, a na krześle zagadkowa postać wielce negliżowo przybrana, przy której zasiada pan domu, z fajką. Jestże to pani domu? Dlaczegoż w przybraniu praczki? Mamy nadzieję, że pan P. udaruje nas wkrótce czemś, coby zatarło niekorzystne wrażenie chybionej pracy.

Grottgera Artura małe wspomnienie Wenecyi, jakże pochwycone z życia... Ów zakątek pełen krużganków, dziewczyna biegnąca z wiadrami do studni w dziedzińcu Dożów, *signorina* w mantilli i jej *amico* — istotnie wspomnienie żywe zawiera się w tym szkicu.

Nie możemy pominąć trzech jeszcze pięknych portretów. P. Dukszyńskiej przedstawiającej z wielkiem podobieństwem jednego z naszych artystów malarzy; ładnego portretu nieznanej nam damy p. Maleszewskiego, i zmarłej Gabryeli wykonanego kredką przez p. Helenę Bogaską. Jest to praca artystki pierwszy raz na Wystawie występującej, wykazująca talent niezaprzeczony. Witamy ją z prawdziwą przyjemnością i cieszymy się, że grono malarzy naszych tak chlubnie dobijających się sławy i uznania w krajach obcych nie zalecających się zbytnią względem nas sprawiedliwością, powiększone zostało nowym nabytkiem młodej i wiele obiecującej artystki.

E.

Nowe wydawnictwa.

Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej, nakładem wspólki księgarzy w Warszawie wyszedł tom XII — ostatni tego wydawnictwa i zawiera powieść p. t: „Jan Kochanowski w Czarnolesie."

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Emilii B. w Wołodkowiczu. Historya polska Lelewela wysłaną była pod opaską w właściwym czasie, czego dowód mamy w książkach naszych. Jest to jednak sposób przesyłania najmniej pewny. Wysyłamy powtórnie.

Pani Michalinie P. w Rotundzie. Według życzenia pieniądze użyte zostały jako dopłata do prenumeraty Tygodnika Mód.

Pannie Leontynie J. Wszystkie książki i sprawunki Redakcya chętnie wysyła na żądanie prenumeratorów swoich. Prosimy tylko o dokładny adres, gdyż nie możemy powieści przesłać.

Pannie Paulinie S. w Nosowiczach. Geografia Czarkowskiego, obszerniejsza cokolwiek kosztuje kop. 60. Jeskego — skrócona kop. 50.

Pani Teresie O. w Nożyczach. Próbki posłane, również list zawierający objaśnienia jakie zebrać mogliśmy.

Pani Józefinie T. w Peczanówce. Dywan kupiliśmy, również pokrycie na meble. Pakunek cały oddany wedle wskazówki na fracht pospieszny. Do przesyłki dołożyliśmy rs. 1 kop. 83.

Pani Zofii B. w Temir-chan-szurze. Poprzednich wysyłek złączyć w jednę nie mogliśmy, ponieważ zawiadomienia żądanych sprawunków przychodziły po dokonanej ekspedycyi. Rs. 100 odebraliśmy, postaramy się w jak najkrótszym czasie sprawunki wyprawić.

Pani Anieli B. w Temir-chan-szurze. Paletot aksamitny ubrany w ten sposób jak posłany — jest najmodniejszy. — Do przysłanych rs. 120 na sprawunki, dołożyliśmy rs. 3. Negliż o jaki zrobiono zapytanie kosztuje od. rs. 15 do 45.

Pani Stanisławie J. w Kawonówce. Książki posłane. Opakowanie i przesyłka wyniosły kop. 37. Dołożyliśmy kop. 12. Co do interesu w liście wyrażonego, mamy nadzieję żądaniu zadosyć uczynić.

Pani Maryi B. w Michałpolu. Z przysłanego rs. 1 pozostało jeszcze po potrąceniu kosztów opakowania i przesyłki pocztowej kop. 5.

Pani K. w Lebarze. Za posłane nasiona należy się nam jeszcze dopłaty kop. 25. Nasiona kosztują rs. 1 kop. 93, opakowanie Tygodnika, książek i nasion razem kop. 15, przesyłka pocztowa kop. 37.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie ślubne. Gładka suknia princesse z ciężkiej jedwabnej materyi, żadnem nie ozdobiona przybraniem, naszyta w całej długości przodu trzema rzędami jedwabnych guzików. Rękawy ozdobione prawdziwą koronką i mankietem; tren sukni podszyty muślinowem plisowaniem. Długi illuzyowy welon zarzucony z wierzchu na mirtowy wianeczek, z przodu spada długo po za stan.

Fig. 2. Strojne ubranie wizytowe. Suknia princesse z blado-niebieskiej materyi zdobna u dołu dwoma skośnemi wolantami, oszytemi plisowaniem. Powyżej zamiast draperyi idą dwie szerokie tiulowe falbany, z aplikacyą w rodzaju brukselskich koronek, przyszyte sutą riuszą z materyi siepanej brzegiem. Plecy princesse złożone z czterech części są środkiem nagarnirowane koronką, u dołu zaś dane fałdowanie z koronki przepinanej puklami z materyi. Riusza i koronka otacza wykrój szyi; rękawy sięgające do łokci suto przybrane riuszą, materyą i koronką. Wachlarz z koronką przerabianą złotem.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 4 (16) Мая 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

O UBIORACH.

(Dokończenie.)

Trzecia suknia z materyału wełnianego bronzowego w prążki białe (fonds neigeux), odszyta formą princesse. Z przodu przerzucone dwie draperye przyszyte na szwach bocznych, z tyłu dodany bryt prosty spadający na tren, przypięty szarfą z materyi bronzowej; druga kokarda powyżej u dołu pleców. Przody zapięte kolisto na trzy rzędy guziczków szmuklerskich, dochodzących do brzegu draperyi. Dół sukni zdobi falbana jedwabna i wełniana.

Z sukien odpowiednich na dnie letnie odznaczały się nowością odrobienia:

Suknia z lekkiego wełnianego materyału koloru creme, zdobna galonem jedwabnym przerabianym z nitką niebieską, czarną i żółtą. Vêtement w górnej połowie zapięte na guziki, niżej zaś prawy złożony w płaskie fałdy, z brzegu oszyty galonem, przechodził nakształt draperyi do tyłu i ginął pod upięciem vêtement. Lewy przód lekko zaokrąglony u dołu, spuszczony był gładko. Do wyjścia na ulicę służyła mantyla odrobiona z materyału sukni, miała z przodu brzegi zebrane w kilka fałd podłużnych a z tyłu przodu zachodziły na plecy i przytwierdzone były guzikami. Kołnierz szalowy.

Z miękkiego francuzkiego beżu odszyta suknia popielata zakończona plisowanemi falbankami z czarną wypustką. Vêtement nie wymagające żadnego okrycia przy wyjściu na ulicę, miało przy przodach dodane z wierzchu przody kaftanikowe, zdobne galonem białym z czarnym i wypustkami czarnemi. Plecy fantazyjnie z prawej strony przypięte do boczka na guziki, przyczem lekko w jedną fałdę podniesione, z lewej strony zebrane w fałdy i przypięte na boczku kokardą czarną. Suknia wizytowa z błyszczącego wełnianego materyału koloru tilleul, formą princesse z dużym trenem oszyta była plisowaniem przestębnowanem w nagłówek. Przody w górze zapięte na guziki, przysłonięte były dwoma draperyami zakończonemi plisowaniem i galonem jedwabnym tilleul z czarnym; niższa draperya dochodziła tylko do boków, górna zaś spięta była z tyłu wielką kokardą. Pasy galonu naszyte były wzdłuż przodów i pleców. Guziki mieniące się kamienne.

Do sukni czarnej lub kolorowej jedwabnej widzieliśmy wspaniałe vêtement czarne gazowe, w matowe jedwabne paski, fantazyjnym nie dającym opisać się fasonem. Riusza z materyi czarnej siepanej brzegiem układana w płaskie rozety z brzegów podszyta koronką jedwabną, naszyta była wzdłuż przodów, z boków i przy podpięciach. Rękawy miały z wierzchu ażurowo wszytą koronke, środkiem przegarnirowaną wązką riuszą; u dołu była riusza, koronka i mankiet z materyi crême. Przy wykroju szyi dodany kołnierz szalowy crême, lekko przemarszczany w odstępach, przedłużony z przodu aż do wcięcia stanu. Kokardy z wstążki repsowej z atłasowym spodem dopełniały garnirunku vêtement, odpowiedniego na wieczorne zebrania.

Pokazywała nam także p. Thonnesowa wielki wybór okryć wiosennych i letnich, różnemi fasonami tak dla pań starszych jak i dla młodych panienek.

Do najmodniejszych w tym roku należą mantyle jedwabne i kaszmirowe, mniejsze i dłuższe, zdobne wspaniałą frendzlą siatkową, riuszą, koronką i kokardami z wstążki. Kaftaniki jedwabne z szerokiemi rękawami i paletociki z matelassé wełnianego lub jedwabnego, z rękawami i plecami lub boczkami jedwabnemi, zdobne pasmanteryą jedwabną i frendzlą. Galony deseniowe jedwabne są używane także i przy okryciach.

Zwróciła naszą uwagę długa poloneza z matelassé, zakończona riuszą z piór i oszyta u dołu frendzlą blizko pół łokcia szeroką; wzdłuż przodów, pleców i na rękawach naszyty był galon jedwabny w liście zielone cieniowane. Guziki z białej konchy.

Między kaftanikami odróżniał się jedwabny z otwartemi rękawami, zakończony szerokim szlakiem naszytym pletnią jedwabną w kratę; całe naszycie na materyi podłożone było rodzajem grubej gazy jedwabnej tworzącej jakby ażurowe tło. Frendzla kwaścikowa szmuklerska. Inny paletocik z matelassu jedwabnego miał boczki i kamizelkę na przodach z gładkiej materyi. Kieszonki u dołu boczków przepięte kokardami.

Dla pań starszych bardzo eleganckie i zgrabne okrycia formą peleryny z dolmanowemi rękawami; jedno przybrane było kosztowną frendzlą, koronką i ażurowym galonem przerabianym sznelą. Z tyłu miało rodzaj kapturka z płaskich plis zakończonego rozetą szmuklerską — takież rozety z przodu.

Oprócz gotowych sukien i okryć magazyn p. Thonnesowej zaopatrzony jest w najświeższe materyały wiosenne i letnie; między temi ostatniemi odznaczały się materyały płócienne panama rayé, natté, façonné, neigeux, tkaniny francuzkie naśladujące wyroby wełniane; grenadyny w grube kraty; kretony w różnych kolorach np. granatowy z cardinal i t. p.

W poprzednich N-rach w korespondencyi z Paryża podane były szczegóły o kapeluszach, nie chcąc ich powtarzać dodamy tylko, że paryżanki umiejące się ubierać zaprzestały już nosić kapelusze daleko odsunięte od czoła. Tegoroczne noszą się bliżej i po większej części wiążą końcami z wstążki odpowiedniego do przybrania koloru; moda pozwala wiązać je z prawej strony w kokardę ładnie odbijającą do twarzy.

Przeglądając modele sprowadzone przez p. Bosz widzieliśmy w nich wielką rozmaitość fasonów — wszystkie zaś były zupełnie różniące się od przeszłorocznych. Kapelusz czarny bastowy *cloche* z główką wysoką i wązkiem, zupełnie płaskiem rondkiem, cały naszyty czarną koronką lekko naddaną i frendzlą dżetową. Z boku trzy strusie pióra spadające na dół. Końce tilleul.

Inny fason z białej włoskiej słomki, miał dodane długie podwójne końce z gazy jedwabnej, oszyte drobniutkiem plisowaniem z koronką, przechodzące z tyłu przez wierzch główki. Na płaskie przystające rondko, podszyte wypustką ze złotego galonu spuszczona była także plisowana falbaneczka. Powyżej szeroki dyadem z kwiatów żółtych, niezapominajek bledziutkich i trawek. Model z czarnego bastu z główką tiulową zdobny kolorem *absinthe*, miał całą główkę przysłoniętą spadającemi gałązkami zielonych kwiatów gutaperkowych z ponsowemi jagodami. Od spodu podszyta rondku była riusza z illuzyi.

Kwiaty a raczej różnorodne trawy i rośliny morskie gutaperkowe są tegorocznym wynalazkiem, który jako nowość ochotnie przyjęto. Pani Boszowa sprzedaje takie gałązki do ubrania kapeluszy po 2 rs. za tuzin.

Na dnie letnie przygotowane kapelusze koronkowe; niektóre modele mają tylko rondko bastowe, jedwabne lub ze słomki a główkę zastępuje fantazyjne upięcie z koronki tiulu i kwiatów. Jeden z tych modeli np. miał wąziutkie rondko przysłonięte szerokim dyademem z owsa, z tyłu przypięty długi welonik z tiulu czarnego w rzucik złotawy, u góry przytrzymany bukietem z lila kwiatów, dalej zaś rozchodzący się w dwa końce, oszyte koronką spięte poniżej bukietu kokardą.



N. 1. Suknia z paletocikiem bez rękawów. N. 2. Kostium z vetement frakowem. N. 3. Ubranie dla chłopca.

Oprócz kapeluszy gotowych p. Bosz sprowadziła najrozmaitsze fasony nie ubrane: słomkowe, bastowe, ryżowe i łyczkowe, które sprzedaje na różne ceny zacząwszy od 60 kop. za kapelusz łyczkowy. Dla młodych osób modne są kapelusze białe i czarne zwane serbki.

Woalki czarne w jedwabny rzucik koloru słomy pasowane; można także dostać odpowiedniego tiulu na łokcie. Przeglądaliśmy również rozmaite szaliki jedwabne w dwóch kolorach zmienionych wzdłuż przez połowę lub półgładkiego tła z drugą połową w deseń perski. Nowość stanowią szaliki batystowe we wszystkich kolorach ze szlakami przerabianemi jedwabiem lub z zakończeniem jedwabnem.

Czepeczki do strojnego domowego ubrania z materyi kolorowej, podgarnirowane plisowaniem z koronką, zdobne opasaniem z plisek na około główki przepiętem z przodu kokardą a z tyłu u dołu kwiatem. Takież negliżyki muślinowe przybierają koronką białą z kolorowym brzegiem zwaną torchon.

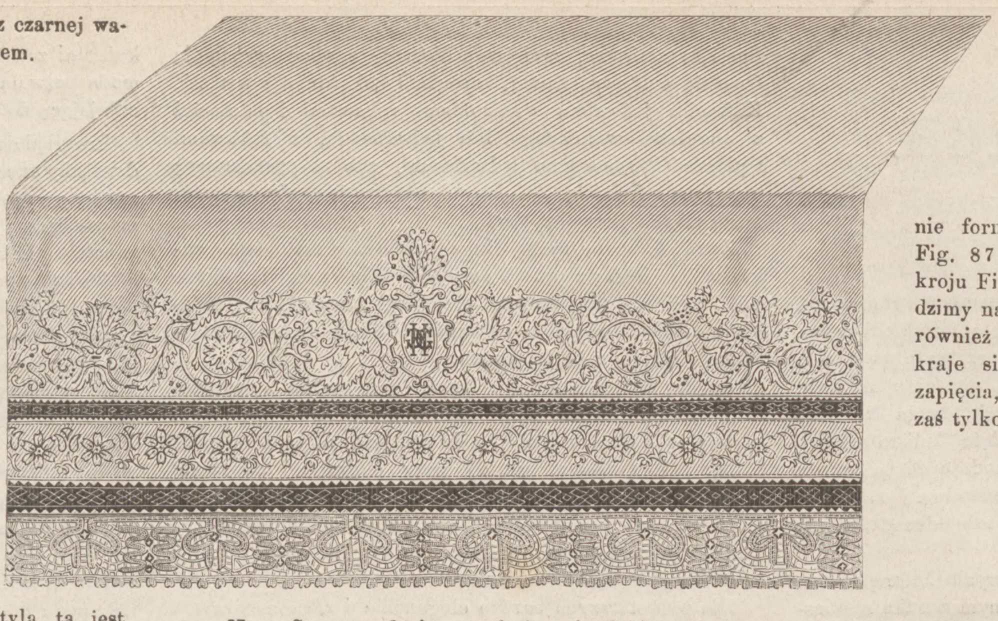
Jeszcze słówko o rękawiczkach: powinny one zgadzać się kolorem z przybraniem sukni lub z wypustkami, lecz są stębnowane nitką odmiennej barwy; najwięcej noszone odpowiednio do modnych w obecnej chwili kolorów są: tilleul, marine, loutre i myrte; najwytworniejsze są z cieniutkiej szwedzkiej skórki ze sztylpami. Do ubrania wizytowego moda powołała znowu mitenki, noszone przez nasze prababki — mają one te jedną zaletę w oczach osób posiadających dużo pretensyi iż odsłaniają piękny kształt ręki. Strojne mitenki do wieczornego wizytowego ubrania sięgające aż do łokci bywają rozmaite: z cieniutkiej siatki białej albo cielistej; inne ze starych angielskich koronek oszyte u dołu riuszą z koronki, przepiętą węzłem;

czarne Chantilly; najfantastyczniejsze zaś są z czarnej walansjenki i koronki zakończone u dołu kwiatkiem.

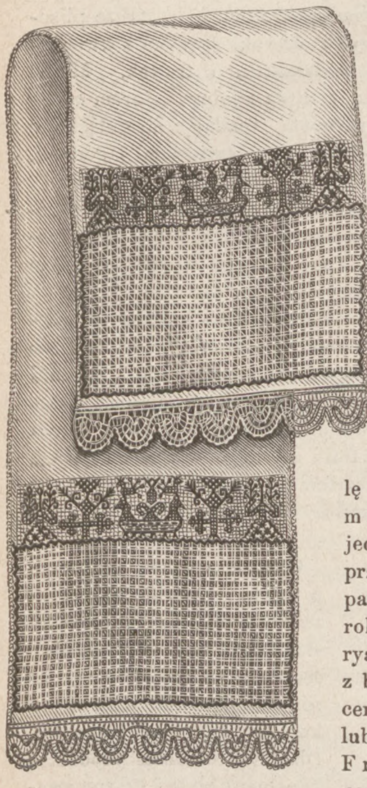
Opis do N. 19.

(Dokończenie).

N. 19 i 28. Mantyla szalowa z prostemi końcami. Krój na arkuszu N. III, Fig. 15—16-a.



N. 4. Serweta płócienna z haftem i szlakiem.



N. 10. Ręcznik z wyszyciem kolorowem, kratką ażurową i koronką.

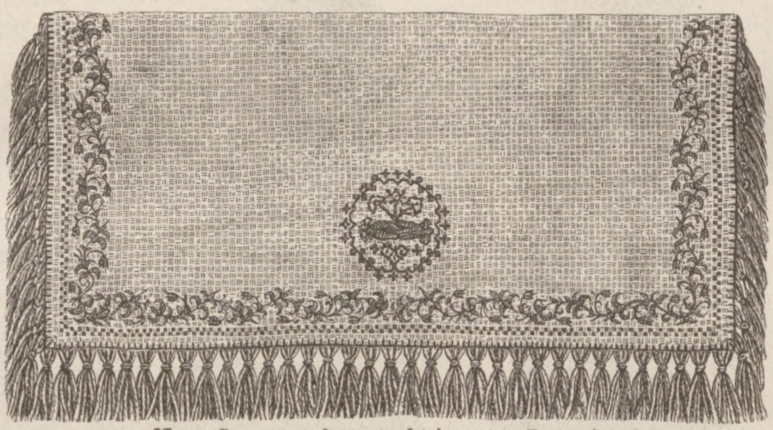
Mantyla ta jest z przodu w pasie zapięta na haftki, oprócz tych przytrzymuje szalowe końce klapka szmuklerska 20 cent. długa, przytwierdzona w końcach guzikami. Jako materyał na mantylę najodpowiedniejsza jest materya adamaszkowa, jedwabna lub wełniana; za przybranie służy ażurowa pasmanterya 5 cent. szeroka, z pod której materyał się wycina, otoczona z brzegów plisowaniem 3 cent. szerokiem lub koronką. Frendzla 16 cent. szeroka.

N. 20 i 29. Mantyla z okrągławo ściętemi końcami i wykładanym kołnierzem. Krój Fig. 15—16-a.

Małe odmiany zachodzące w kroju tej mantyli a poprzedniej łatwo dopełnić podług linii kropkowanej na Fig. 15-a; końce w pasie założone są w fałdki i lekko przerzucone lub tylko skrzyżowane i spięte kokardą. Kołnierz przykrojony podług fig. 16, przyszyty od dwukropka do gwiazdki do wykroju mantyli. Przyozdobienie mantyli kaszmirowej stanowi szeroka frendzla i haft odrobiony jedwabiem na tle wzdłuż brzegów.



N. 5. Serweta płócienna z haftem kolorowym.



N. 6. Serweta z kanwy płóciennej. Patrz frendzle ryc. 7—8.

N. 21—22. Opisy na arkuszu z krojami N. IX.

N. 23 i 35—36. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. XX, Fig. 86—91, 25—30.

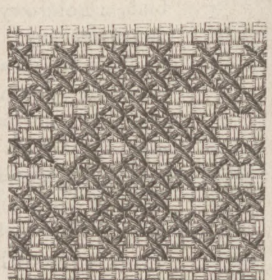
Vêtement przedstawione z przodu na ryc. 23 odznacza się zupełnie nowym gustem i oryginalnem odrobieniem z dwóch materyałów gładkiego i w pasy: spódnica rękawy, kieszeń i chusteczka są gładkie, całe vêtement zaś z materyału w pasy; składa się ono tylko z przodów o jednej zaszewce i z pleców z czterech części. Zmniejszone formaty ryc. 35—36 przedstawiają dwa odmienne rodzaje pleców: gładkie i odcinane. Fig. 86 (z jednem założeniem formy) załącza krój górnej części przodu zachodzącego na wierzch; przedłużenie formy jako też i obydwóch części pleców Fig. 87 i 88 wskazuje zmniejszony format kroju Fig. 86-a—89-a; całość vêtement widzimy na ryc. 35. Koliste zapięcie vêtement również zasługuje na uwagę; jeden przód kraje się z przypuszczeniem do kolistego zapięcia, jak to wskazuje Fig. 86-a, drugi zaś tylko do linii prostej kropkowanej oznaczającej środek. Krótszy brzeg zwierzchniego przodu jest do 12 cent. zfałdowany i przypina się za pomocą haftek pod kieszonką, do zupełnie gładko spływających pleców. Plecy odcinane jakie widzimy na ryc. 36 dopełniają się prostym brytem, złożonym w kontrafałdy, podług Fig. 91. Dolny brzeg vêtement może być zaokrąglony lub prosto ścięty i dłużej lub krócej stosownie do gustu spadający na suknie. Zręczna chusteczka oszyta przy wykroju szyi plisowaniem lub z gładkim stojącym kołnierzem, układa się podług Fig. 90 z trójkątnego kawałka prostego w środku i sfałdowanego podług znaków; brzegi zdobi frendzla, galon lub t. p.



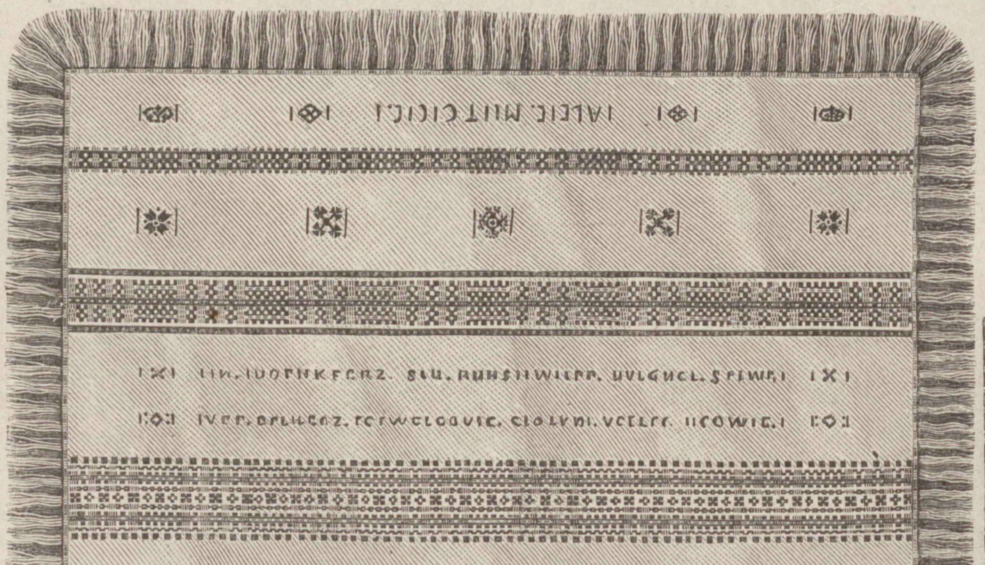
N. 11. Ręcznik z kolorowemi szlakami i wyszyciem.

N. 24. Chusteczka i szarfa Almée, do ubrania wizytowego dla młodych panien. Krój szarfy na arkuszu: N. VIII, Fig. 40. Krój chusteczki na arkuszu: N. XIII, Fig. 57.

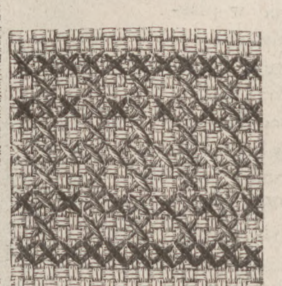
Ładna chusteczka której krój wskazuje Fig. 57 dopełniona z przodu 74 cent. długiemi końcami z wszywki i koronki musi być odpowiednio do szarfy Almée uszytą z tiulu, muślinu, batystu, gazy i t. p. Do przybrania można użyć koronek fabrycznych lub też własnoręcznie wywodzonych na tiulu i siatce gipiurowej albo irlandzkiej koronki z tasiemeczek. Tło chusteczki jest na ryc. 24 złożone w drobniutkie fałdki; brzeg kirasowego stanika przysłania draperya tak iż suknia zdaje się być formą princesse; półdługie rękawy stanowią toaletę strojniejszą. Suknia z materyi jedwabnej, błyszczącego sultanu czy alpagi może być w zupełnie nowym guście zakończona u dołu w zęby objęte wypustką i podszyte od spodu plisowaniem muślinowem.



N. 7. Frendzla i szlak do ryc. 6.

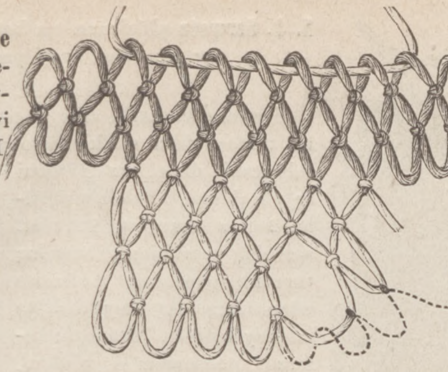


N. 9. Serweta z fabrycznemi szlakami.



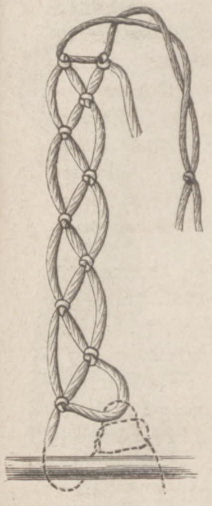
N. 7. Szlak i frendzla do ryc. 6.

N. 25 i 31. Ubranie spacerowe z draperyą Almée i mantylą. Krój draperyi na arkuszu N. VIII

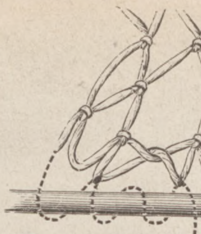


N. 13. Wskazanie przybierania oczek siatki.

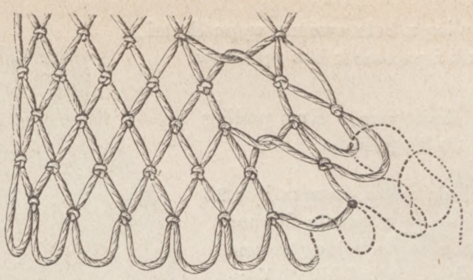
Fig. 40; krój mantyli N. X, Fig. 49—50-a.



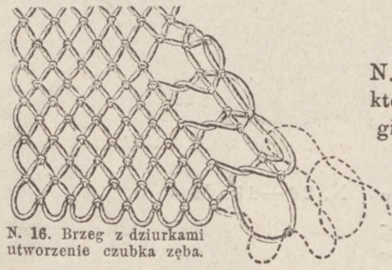
N. 12. Robota paska do którego przyrabia się siatkę.



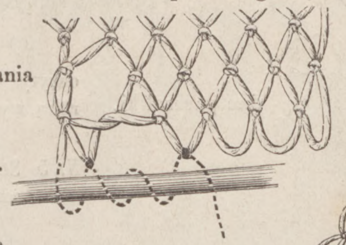
N. 14. Dziurki brzeżne od strony z której się przybiera. Wykonanie pierwszego rzędu.



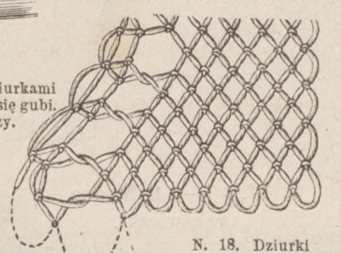
N. 15. Dziurki brzeżne od strony z której się przybiera. Wykonanie drugiego rzędu po odwróceniu roboty.



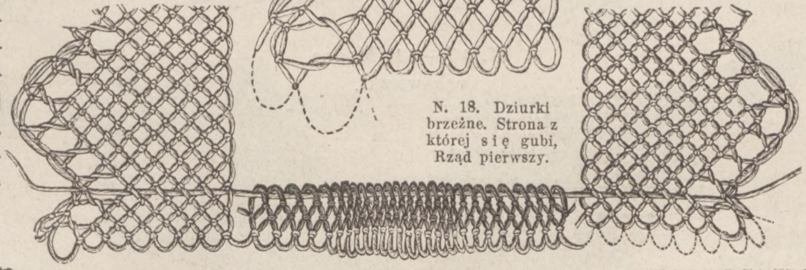
N. 16. Brzeg z dziurkami utworzenie czubka zęba.



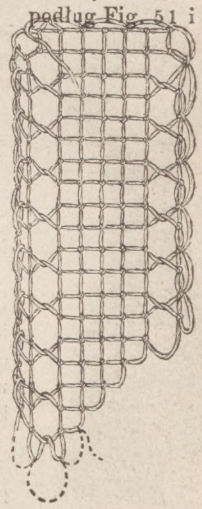
N. 17. Brzeg z dziurkami od strony z której się gubi. Rząd pierwszy.



N. 18. Dziurki brzeżne. Strona z której się gubi, Rząd pierwszy.



N. 21. Złączenie bocznych pasów dla otrzymania nie zszywanego szlaku.



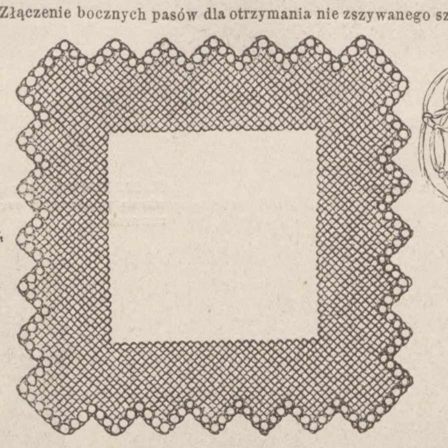
N. 25. Pasek siatki prostej z dziurkami z brzegów.

Na sukni jaką podaje ryc. 25 widzimy nowy rodzaju układu szarfy Almée z szerokim u góry ranwersem a tylko jednym końcem z tyłu i zręczną chusteczkową mantylę z tej co suknia materyi, która obecnie stanowi najmodniejsze dopełnienie spacerowego ubrania.

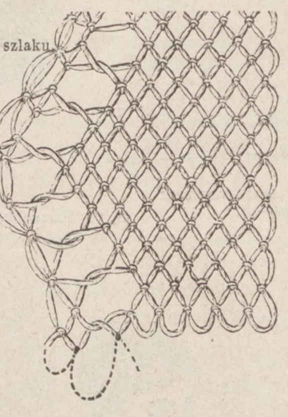
Ryciny 25 i 31 przedstawiają suknię i mantylę z gładkiego wełnianego materyału, przybrane wełnianym galonem 5 cent. szerokim i frendzlą; galon zastąpić mogą drobne złożone pliski. Fig. 40 załącza w zmniejszonym formacie krój i całkowity wymiar echarpe Almée, którą jeśli materyał jest jednakowy na obie strony, można ułożyć z jednego bryta prostego, dodając tylko górny ranwers. Skośny koniec szarfy odwinięty w ranwers przefałdowywa się podług znaków podanych na Fig. 40; drugi brzeg również się fałduje lub zestawia gładko wedle upodobania. Kokarda przypięta jest pod górnym wykładem w ten sposób iż zdaje się przewiązywać całą szarfę. Fig. 49 załącza formę chusteczkowej mantyli u której wykrój szyi i zaszycie ramion pasuje się podług Fig. 49-b, podającej miary długości i szerokości. Kołnierz krajać trzeba podług Fig. 50; plisowanie przy szyi i kokardy z materyi jedwabnej.



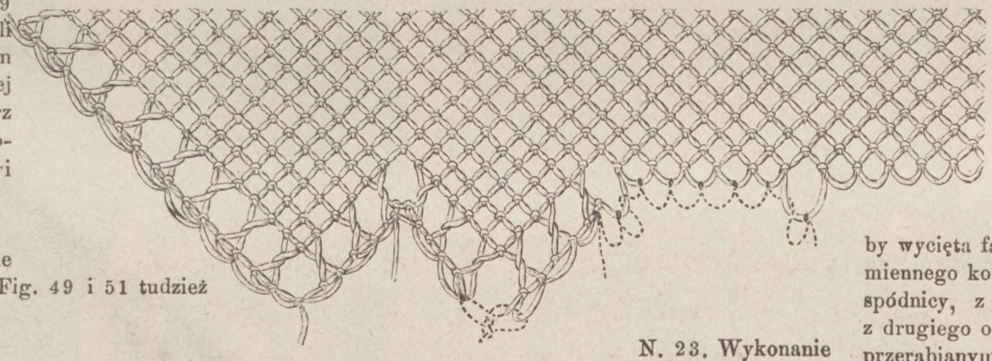
N. 19. Dziurki brzeżne. Strona z której się przybiera. Rząd drugi.



N. 22. Szlak nie zszywany.



N. 20. Brzeg dziurki. Zagłębienia zęba.



N. 23. Wykonanie zębów z brzegiem w dziurki, przy siatce.

N. 26—27. Mantyle nie przedłużone z przodu. Krój na arkuszu: N. X, Fig. 49 i 51 tudzież 49-b i 51-a.

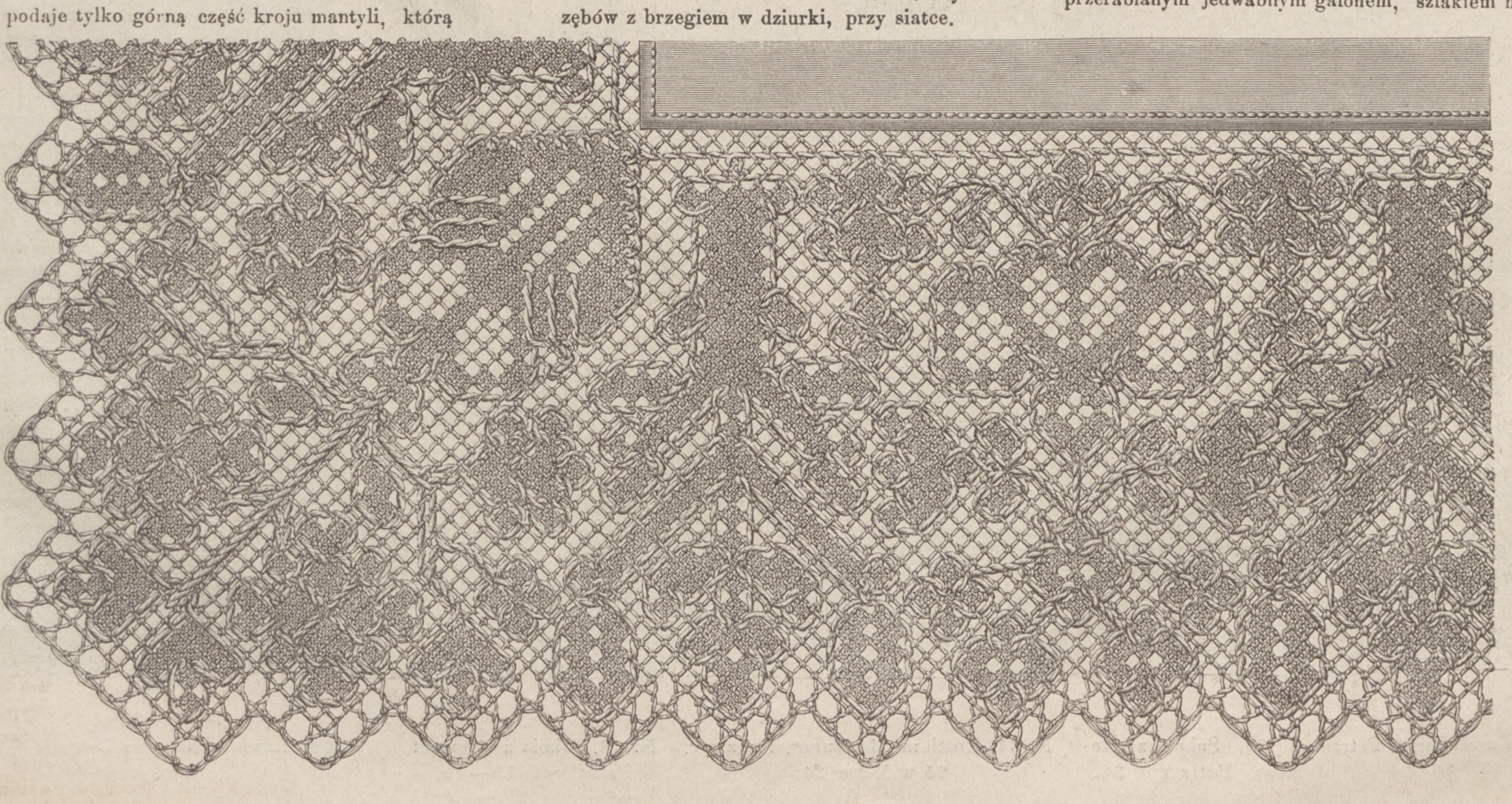
Fig. 49 podaje tylko górną część kroju mantyli, którą dopełnić trzeba podług miar wypisanych na linii kropkowanej na Fig. 49-b. Kołnierz ścięty z tyłu w ząb otwarty kraje się podług Fig. 51 i po zszyciu ramion od M—N łączy z mantylą od O do gwiazdki. Model przedstawiony z przodu na ryc. 26 jest z czarnego matelassé; brzegi obejmuje gruba wypustka z jedwabnego repsu a u dołu szeroka wełniana frendzla z siatkowym na główkiem; kokarda z wstążki repsowej 7 cent. szerokiej. Na ryc. 27 widzimy mantylę z czarnego kaszmiru na podszewce; naszycie z pasmanteryi 5 cent. szerokiej i bogata jedwabna frendzla 15 cent. szeroka stanowi przyozdobienie. Wzór takiej frendzli wiązanej podaliśmy w zmniejszeniu na ryc. 11 w N-rze 18.

N. 32, 34 i 37—38. Opisy na arkuszu z krojami.

Opis do N. 20.

N. 1. Suknia z paletocikiem bez rękawów. Krój paletocika jak do ryc. 35—36 w N. 18 Tygodnika.

Paletocik z tyłu wcięty do figury, z przodu luźny, odrobiony z tego materyału co ubranie składające się ze spódnicy, tuniki i stanika z baskiną i rękawami. Spódnica oszyta jest 12 cent. szerokiem plisowaniem, na które zachodzi cokolwiek nadmarszczona, w zęby wycięta falbana 13 cent. szeroka, objęta wypustką odmiennego koloru i takąż pliską przyszytą. Tunika formą spódnicy, z jednego boku jest niby na guziki zapięta, z drugiego ozdobiona długą kieszenią, u dołu zaś oszyta przerabianym jedwabnym galonem, szlakiem haftowanym



N. 24. Szlak wyszywany na siatce do chusteczek, serwet i t. p. (Fliet antique). Patrz ryc. 13 — 23.

na materyale sukni albo plisą z kolorowemi wypustkami. Takież oszycie zdobi stanik i paletocik bez rękawów.

N. 2. Kostium z vêtement frakowem. Krój podług ryc. 34 w N. 19 Tygodnika.

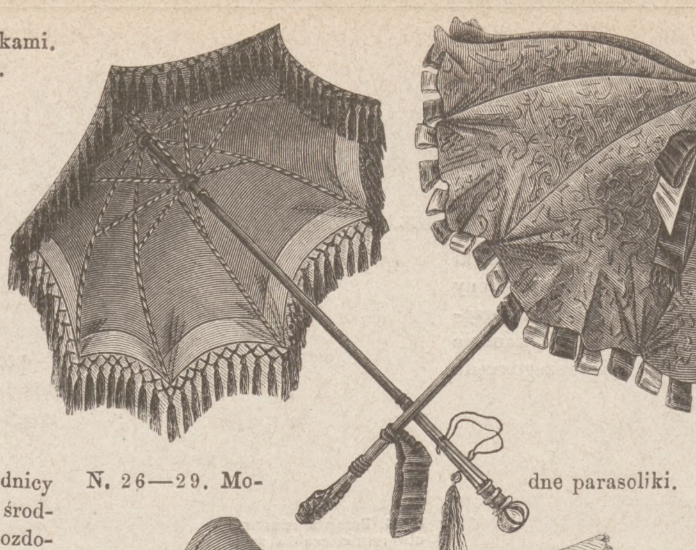
Spódnica niedochodząca do ziemi, oszyta jest 26 cent. szeroką prostą falbaną, ułożoną w podwójne, 12 cent. szerokie kontrafałdy. Vêtement z przodu formą luźnego paletocika z tyłu z połami frakowemi, z materyału wełnianego, w kratkę przerabianego, dopełnione jest z przodu tuniką w fałdy upiętą, tylko do bocznych klinów spódnicy dochodzącą. Poły vêtement w środku tylko do kokardy zeszyte, ozdobione guzikami i odznaczonemi dziurkami, z boków zakończone ranwersami z jedwabnego repsu, którego są także mankiety, kołnierz i plisowanie. U spódnicy falbana obłożona tem co vêtement materyałem, guziki *cérémiques* albo repsowe.



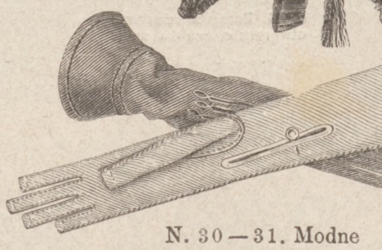
N. 32. Krawatka ze sprzączką metalową.

N. 3. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój bluzy i majtek podawaliśmy w roku 1876.

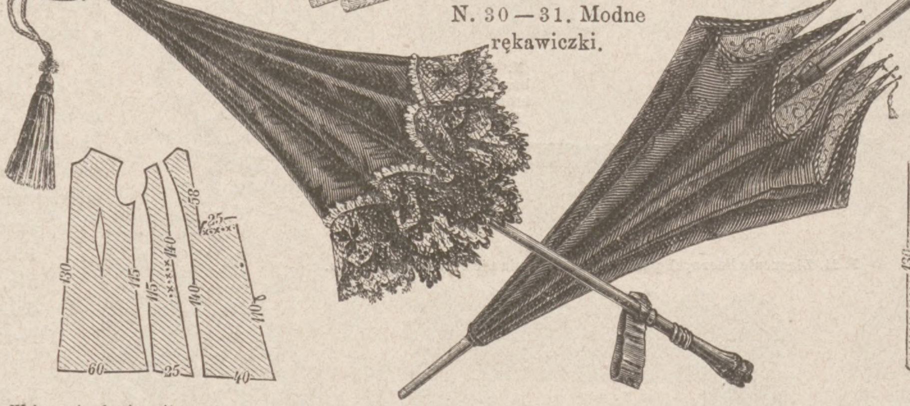
Bluza i majtki z letniego, popielatego buckskingu, oszyte są 3 cent. szeroką repsową plisą i ozdobione takiemiż guziczkami.



N. 26—29. Modne parasoliki.



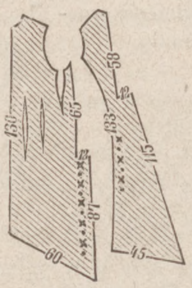
N. 30—31. Modne rękawiczki.



N. 28. Parasolik z koronką.

N. 29. En-tout-cas z deseniową podszewką oszyty sznurem.

N. 36. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 34—35.



N. 40. Wskazanie kroju vêtetent do ryc. 39.

N. 4. Serweta płócienna na bufet. Haft kolorowy sznureczkowy i pasy tkane.

Serweta na szafki albo boczny bufetowy stolik ma tylko u dołu szlak haftowany i pasy tkane fabrycznie drugi brzeg i boki są obrąbione. Szlak w środku 20, z brzegów 12 cent. szeroki, odrobioną bawełną turecką ponsową; ciemno odznaczające są pasy naszyte między haftem, tkane w kolorze ponsowym i białym, kupuje się na łokcie w składach pasmanteryjnych. Brzeg oszyty koronką nicianą, 10 cent. szeroką wywodzoną ponsowo.

N. 5. Serweta płócienna na stolik. Haft różno-kolorowy krzyżykami.

Kwadratowa, płócienna serweta, wyszywana na podłożonej kanwie, bawełną turecką ponsową, szafirową, zieloną i żółtą, ozdobiona w koło szlakiem z kwiatów i arabesek. Haft odrabia się na mocnem płótnie bez glansu, a frendzla z brzegów jest siepana.

(d. c. n.)



N. 33. Krawatka ze sprzączką z konchy.



N. 34. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 35 i 36.

N. 35. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 36.

N. 37. Kostium „Bretonne". Patrz ryc. 25 w N-rze 21.

N. 38. Suknia z vetement. Patrz ryc. 39—40.

N. 39. Suknia z vetement i paletotem. Patrz ryc. 40.